

*Książkę tę dedykuję Czytelnikom  
poprzednich tomów: „Miłość przychodzi łagodnie”  
oraz „Trwała obietnica miłości”,  
z podziękowaniami za serdeczne słowa zachęty.*

## Wstęp

Wyobraźmy sobie przez moment rozstanie rodziny w czasach osadników. Dorosłe dzieci oświadczają rodzicom, że czują powołanie, by zdobywać Zachód.

Przez wiele tygodni i miesięcy całej rodzinie towarzyszą gorące emocje. Planują cały wyjazd, szyją ubrania i pościel, zaopatrują się w potrzebne rzeczy, pakują do skrzyń niezbędne wyposażenie, które będzie miało im służyć przez najbliższe miesiące lub nawet lata. Na długą podróż muszą zgromadzić i przygotować żywność – od kawy przez mąkę, smalec, miód, melasę aż po sól i inne produkty marynowane, solone, suszone i puszkowane. Potrzebne będą też lampy i nafta, smar do wozu, zapasowe części do uprzęży, jak również broń i proch strzelniczy, narzędzia, gwoździe, liny, naczynia gliniane, czajniki, garnki, dzbanki, patelnie, talerze i miski, leki, nasiona, materiały do szycia ubrań, gdy stare się zużyją lub zniszczą. Spakować należy też meble: łóżko, stół i krzesła oraz inne wyposażenie, takie jak na przykład kuchenka, maszyna do szycia, jeśli w ogóle zdoła je pomieścić wóz.

Przedmioty łatwe do stłuczenia trzeba ostrożnie ułożyć w ręcznie wykonanych skrzyniach i obsypać trocinami. Wszystko musi być zabezpieczone na wypadek zamoknięcia, zważywszy że będą musieli przeprowiać się przez rzekę i niejednokrotnie podróżować w czasie ulewnego deszczu. Po skończonej podróży skrzynie zostaną rozpakowane i rozmontowane, a każda deska posłuży jako materiał budowlany, na przykład do wykonania ram okiennych, stołków albo kołyski dla dziecka. Trociny, którymi oprószać się będzie bizonie odchody, zostaną wykorzystane jako rozpałka do ognia.

Naczynia i słoiki z żywnością po opróżnieniu zostaną później użyte do przechowywania.

Tak, przeprowadzka to niesamowite przedsięwzięcie. Przygotowania do niej doprowadzają umysł, ciało i emocje do krańców wytrzymałości. Lecz co się będzie działo, gdy skończy się sortowanie i pakowanie rzeczy, gdy wozy będą już załadowane, zaprzęg przymocowany, a wóz gotowy do wyruszenia w drogę?

Matki i ojcowie będą żegnać swoje latorośle ze świadomością, że być może nie zobaczą się z nimi już nigdy. Transport korespondencji zajmuje wiele miesięcy, jeśli listy w ogóle dochodzą. Dlatego często rodzice na Wschodzie nie wiedzą nic o swoich dzieciach czy wnukach, gdzie są i jak im się powodzi. Ci, którzy pozostają na miejscu, mają nadzieję, że brak wiadomości to dobra wiadomość – gdyż tylko złe wieści mają na tyle duże znaczenie, by dostarczyć je na odległość wielu mil.

Żona podąża za mężem w przekonaniu, że jej miejsce znajduje się przy jego boku, niezależnie od tego, jak mocno jest przywiązana do domu rodzinnego, który zna i kocha. W nowym

świecie, gdzie zmierzają, czekają ich niebezpieczeństwa, samotność i niepowodzenia, ale ona mimo to decyduje się jechać w daleką drogę.

Często myślę o żonach zachodnich osadników. Jak wielkie koszty musiały ponosić, podążając za marzeniami swoich mężów! Podejmowały ogromne ryzyko, rezygnując ze spokojnego życia, pozbawione bezpieczeństwa, rodząc dzieci bez akuszerki czy lekarza, pielęgnując chore potomstwo, gdy brakowało leków i opieki medycznej. Pełniły równocześnie wiele ról: były w jednej osobie matkami, nauczycielkami, katechetkami, lekarkami, krawcowymi i zaopatrzeniowcami dla powiększającej się rodziny. Bez narzekania wspierały swoich mężów w czasie powodzi, zamieci śnieżnych, burz piaskowych i susz. Kroczyły z podniesioną głową, mimo że nie miały się w co ubrać, brakowało narzędzi do pracy, a nawet jedzenia.

Niech pamięć o nich będzie błogosławiona – o kobietach, które odważnie towarzyszyły swoim mężom oraz tym, które ze łzami w oczach i bólem ściskającym serce pozwalały odejść w nieznanie swoim najbliższym. I niech Bóg udziela i nam takiej wiary, siły, odwagi, miłości oraz determinacji, które pomagały im wytrwać.

*Janette Oke*





## Rozdział 1

# Początek podróży

*M*issie zdjęła czepkę. Promienie popołudniowego słońca padały wprost na jej głowę. Nie była pewna, czy to najlepsze rozwiązanie, gdyż w ten sposób rezygnowała z ochrony przed ostrym słońcem, jaką mimo wszystko zapewniał jej szeroki daszek czepka. Bez niego nie odczuwała też delikatnego smagania wiatru po twarzy. Było wyjątkowo upalnie! Pocieszała się myślą, że najgorszy skwar tego dnia mają już za sobą. Z pewnością zaraz zrobi się chłodniej – gdy tylko zachodzące słońce obniży swój tor.

Ten pierwszy dzień podróży wydawał jej się strasznie długi i męczący. Emocje poranka szybko minęły, dając wrażenie, jakby od wyjazdu upłynęły już długie tygodnie. Ale nie. Czas wskazywał na to, że bolesne pożegnanie z ukochaną rodziną nastąpiło zaledwie tego dnia o świcie.

Kiedy przypomniała sobie łyzy i poranną melancholię, przeszły ją dreszcz emocji. Razem z Williem naprawdę znajdowali się już w drodze na Zachód. Okres marzeń i planów nareszcie uwieńczyła wspólna wyprawa. Z perspektywy wozu ich

marzenia, choć wciąż tak bardzo odległe, były mocno osadzone w rzeczywistości.

Zmęczone i obolałe ciało potwierdzało Missie, że podróż stała się faktem. Siedząc na twardych deskach, przesunęła ciężar ciała, próbując znaleźć dla siebie w miarę wygodną pozycję. Willie odwrócił się do niej. Wiedziała, że chociaż nie patrzy w przód, jego ręce sprawnie trzymają lejce, wyczuwając każdy ruch poruszającego się z trudem zaprzęgu.

– Jesteś zmęczona? – zapytał z troską, patrząc uważnie na jej zarumienioną od gorąca twarz.

Missie uśmiechnęła się mimo znużenia i odsunęła do tyłu kosmyk wilgotnych włosów.

– Troszkę. Myślę, że dobrze mi zrobi, jak znów rozprostuję nogi.

Willie pokiwał głową i odwrócił się znowu do koni.

– Będzie mi ciebie brakowało tu z przodu – stwierdził – ale oczywiście rozumiem, że potrzebujesz się od czasu do czasu trochę przejść. Chcesz już teraz zejść z wozu?

– Za chwilę – Missie zamilkła, po czym znów się odezwała: – Strasznie trzęsie ten wóz... i jeszcze ten pył wychodzący spod kół i unoszący się w powietrzu... takie uroki jazdy wozem.

Czuła, że Willie patrzy na nią kątem oka.

– Uprząż skrzypi, konie tupią, ludzie pokrzykują... nie wyobrażałam sobie, że cały czas będziemy jechać w takim hałasie – podsumowała.

– Podejrzewam, że gwar z czasem ucichnie, gdy wszyscy się przyzwyczaimy do długiej podróży – powiedział Willie głosem zdradzającym niepewność.

– Tak, też tak myślę... – zgodziła się prędko, zdając sobie sprawę, że miał teraz na głowie o wiele więcej zmartwień niż jej samopoczucie.

Wsunęła mu dłoń pod pachę. Czuła jego napięte mięśnie, gdy przyciągnął ją do siebie, zapewniając tym gestem o swojej miłości. Widziała, że jego silne dłonie pewnie prowadzą zaprzęg. Szorstka bawełniana koszula miejscami cała była mokra od potu. Zauważyła, że odpiął kilka guzików pod szyją.

– Wydaje mi się, jakbyśmy cały ten hałas i pośpiech wzięli ze sobą z domu – powiedziała z grymasem na twarzy.

– Co masz na myśli?

– No wiesz... Ta atmosfera przypomina mi ostatnie dni spędzone w domu... Całe to planowanie, pakowanie, upychanie rzeczy do skrzyń, ładowanie ich na wóz... Wydawało mi się, że nigdy tego nie skończymy... A hałas przy tym był równie okropny... Wszyscy coś mówili jeden przez drugiego, ktoś walił młotkiem, a inny toczył z hukiem beczki... To wyglądało jak dom wariatów.

– Rzeczywiście - roześmiał się Willie.

Znów zapadło milczenie. Missie czuła, że Willie ukradkiem jej się przygląda, aż w końcu odezwał się ostrożnie:

– Coś mi się wydaje, że intensywnie o czymś myślisz.

Missie zdobyła się jedynie na ciche westchnienie i jeszcze mocniej uścisnęła ramię męża.

– Intensywnie to za dużo powiedziane... Ale tak, nie mogę przestać myśleć o domu. Musi tam teraz panować okropna, przejmująca cisza... Po tych wszystkich dniach, tygodniach i miesiącach biegania, zamieszania...



Missie była tak ogarnięta zadumą, że nawet nie dokończyła zdania, a Willie nie chciał jej przeszkadzać w tych cichych rozważaniach.

Myślała o obu zapakowanych po brzegi wozach. Wcześniej nie sądziła, że to w ogóle możliwe, żeby upchnąć w nich aż tyle rzeczy. Udało im się załadować wszystko, czego prawdopodobnie będą potrzebowali w ciągu nadchodzących miesięcy – *nawet to, bez czego moglibyśmy się obejść, gdyby się nie zmieściło* – myślała, jakby z wyrzutami sumienia. Przypomniała jej się zwłaszcza elegancka zastawa, którą mama kupiła jej za pieniądze zaoszczędzone ze sprzedaży jaj, a potem samodzielnie zabezpieczała trocinami.

– Kiedyś będziesz mi wdzięczna, że ją wzięłaś – zapewniała ją Marta. Missie w głębi serca czuła, że zawsze, ilekroć będzie patrzyła na tę porcelanę, przywoła to w jej pamięci słodko-gorzkie wspomnienia.

Ogarnął ją smutek. Nie chciała, by Willie odczytał jej myśli. Rozważania o domu i ukochanych osobach wzmagały odczuwany gdzieś w głębi serca ból. Jeśli nie będzie ostrożna, zaraz się rozpłacze. Przełknęła ślinę i zmusiła się do serdecznego uśmiechu, którym obdarzyła męża.

– Może powinnam się jednak trochę przejść już teraz – powiedziała energicznie.

– Zatrzymam się tam, na rozszerzeniu drogi – obiecał jej, na co Missie przytaknęła.

– Zauważyłaś, że zostawiliśmy już za sobą wszystkie znane nam gospodarstwa? – zapytał Willie.

– Tak, wiem.

– Chyba dopiero teraz zacząłem sobie uzmysławiać, że naprawdę jesteśmy w drodze na Zachód – szczerą radość w jego głosie skłoniła ją do odwzajemnienia uśmiechu. Naprawdę podzielała jego szczęście i podekscytowanie, ale w tej samej chwili poczuła znany jej dobrze ucisk w żołądku. Udawała się ze swoim mężem na Zachód, ale daleko za sobą pozostawiała wszystkich tych, których znała i kochała. Kiedy znowu będzie mogła się z nimi spotkać? Czy w ogóle kiedykolwiek ich jeszcze zobaczy? Do jej oczu napłynęły łzy.

Willie zatrzymał na moment wóz, by mogła zejść. Gdy ruszył, spod kół uniósł się pył. Missie cofnęła się o kilka kroków. Zawiązała na głowie czepek, by zabezpieczyć włosy przed wzbitym w powietrze piachem. Skinęła głową człowiekowi wynajętemu przez nich do prowadzenia drugiego wozu, po czym rozejrzała się dookoła. Zastanawiała się, czy spotka wśród podążających wzdłuż wozów kogoś, z kim już wcześniej zdążyła się zapoznać. Nikogo znajomego jednak nie rozpoznała, więc uśmiechnęła się do ludzi idących obok i bez słowa dołączyła do nich.

Szła po zakurzonej, wyboistej drodze, a jej ciało, choć młode i zdrowe, coraz bardziej odmawiało jej posłuszeństwa. Zastanawiała się, jak dają radę iść starsze kobiety. Zwróciła szczególną uwagę na dwie, które podążały tuż obok niej, po prawej stronie. *Wyglądają mniej więcej na osoby w wieku mamy – pomyślała. – Mama wciąż czuje się doskonale, jest silna i pracuje ciężiej niż ja. Nie chciałabym jednak widzieć jej w takiej sytuacji.*

Kobiety rzeczywiście wyglądały na zmęczone. Missie czuła w sercu głębokie współczucie. Nagle przypomniała sobie to, co

mówił im przewodnik karawany, pan Blake. Zanim wyruszyli dzisiejszego poranka, dawał im ważne instrukcje. Wydawało jej się to głupie, kiedy zapowiadał, że przez pierwsze dni będą jechali krócej. Teraz rozumiała, że wiedział, co mówi.

Słońce obniżało swój bieg do linii horyzontu i Missie wiedziała, że wkrótce zatrzymają się na postój. Podeszła do kobiet i przedstawiła się. Krótka pogawędka dobrze im zrobiła i pozwoliła na chwilę zapomnieć o zmęczeniu.

Kiedy rozmowy dobiegły końca, pomyślała o mężu. Zastanawiała się, czy cieszy się z perspektywy wcześniejszego postoju na noc, czy też jego gorliwość w dotarciu do miejsca przeznaczenia będzie skłaniała go do tego, by marzyć o dłuższym dniu podróży.

Była dumna ze swojego męża. Był taki przystojny. Miał ciemne, lekko kręcone włosy, głęboko osadzone, brązowe oczy, brodę z wcięciem przypominającym dołeczek i zgrabny nos, który stracił nieco swoją doskonałość po upadku Williego z drzewa w wieku dziewięciu lat. Poza tym był wysoki i miał silne, szerokie ramiona – tak wyglądał jej Willie.

Kiedy o nim myślała, miała przed oczami nie tylko jego wygląd zewnętrzny, lecz przede wszystkim charakter, który tak dobrze знаła. Willie, który był wyjątkowo męski, potrafił też doskonale czytać jej myśli. Zawsze najpierw miał na uwadze dobro innych, zanim pomyślał o sobie. Był bardzo ugodowy w stosunkach z ludźmi, lecz stanowczy wobec siebie. Silny, wytrwale dążący do celu, trochę uparty, lecz Missie wolała opisywać go jako człowieka z wielką determinacją. Cóż, może odrobina uporu była nieodłączną cechą w realizowaniu jego wielkich marzeń

o hodowli bydła, pracy przy koniach, posiadaniu własnego ran-  
cza i zdobyciu ziemi na dalekim Zachodzie.

Kiedy dwa lata wcześniej Willie wyjechał, by sprawdzić, czy realizacja jego marzeń jest możliwa, przetrwał niekończące się poszukiwania oraz biurokrację. W końcu otrzymał dokument potwierdzający przydział ziemi. Później, kiedy poślubił Missie, ich wyjazd musiał się odwlec ze względu na konieczność zebrania funduszy na podróż i pierwsze inwestycje. Choć drażniło go to opóźnienie, marzenia w nim nie umarły. Pracował ciężko w młynie, odkładając każdy zaoszczędzony grosz, dopóki nie zarobił wystarczającej kwoty. Missie była dumna, gdy również mogła coś dołożyć ze swojej nauczycielskiej pensji, tak by szybciej mogli nabierać sumę potrzebną na podróż. Dawało jej to wiele satysfakcji, że może mieć udział w realizacji marzeń swojego męża, które stopniowo stawały się również jej marzeniami.

Missie spojrzała w niebo, by zorientować się co do pory dnia i oszacowała, że może być około trzeciej lub czwartej po południu.

W ich domu zawsze można było po aktywnościach członków rodziny stwierdzić, która jest aktualnie godzina. O tej porze mama pewnie zrobiła sobie krótką przerwę od ciężkich codziennych zadań i usiadła w swoim ulubionym fotelu z robótką lub cerowaniem. Tata pewnie wciąż jest w polu. Rodzice również byli bardzo hojni i odłożyli dla nich dość dużą sumę pieniędzy. Przypomniała sobie ostatnie chwile spędzone z nimi. Choć miało to miejsce zaledwie tego poranka, to czas i odległość nie stanowiły jedynej miary rozstania. Było nią jej nowe życie, które właśnie rozpoczynała z Williem.

Mama i tata bardzo dzielnie poradzili sobie z pożegnaniem. Clark zgromadził wszystkich wokół siebie i poprowadził w rodzinnej modlitwie. Marta usiłowała opanować łzy.

– Mamo, popłacz sobie, jeśli chcesz – powiedziała Missie i za chwilę obie trzymały się w uścisku i płakały tak długo, aż w końcu Missie poczuła ulgę i pociechę, podobnie jak Marta.

Missie otarła łzy i rozejrzała się wokół, upewniając się, że nikt ich nie zauważył. Odsunęła od siebie myśli o samotności, jaką teraz odczuwała. Musiała się opanować, jeśli nie chciała przybyć do obozu z zaczerwienionymi, opuchniętymi oczami i czerwonymi plamami na policzkach. Poza tym, miała Williego, a przede wszystkim miała Boga – tak naprawdę nigdy nie będzie samotna. Modlitwa taty tego poranka przypomniawszy jej, że Pan będzie przed nimi i za nimi w czasie całej podróży.

Missie szła naprzód, powłócząc zmęczonymi nogami. Nawet solidne buty do wędrowki nie ukrywały rozmiaru jej małych stóp. Wiedziała, że nie zatuszuje również swojego młodzieńczego wyglądu pod jasnobrązową, bawełnianą sukienką. Wcześniej przypadkiem podsłuchiwała rozmowę dwóch mężczyzn na jej temat. Stwierdzili, że „taka chudzinka jak ona, która nie ma pewnie jeszcze piętnastu lat, nie przetrwa nawet tygodnia tej wędrowki”. Nie wiedziała, czy ma płakać, czy się śmiać, ale zrezygnowała z jednego i drugiego. Pewnie by nie uwierzyli, że ma już przecież za sobą dwa lata pracy w charakterze dyplomowanej nauczycielki. Zamierzała im udowodnić, jak bardzo się mylą w swojej opinii.

Podniosła rękę i odgarnęła z twarzy spadający kosmyk włosów, który wy dostał się spod czepka i przykleił do wilgotnego

od potu czoła. Wiedziała, że policzki ma zaczerwienione od skwaru. Mimo tęsknoty za domem, zmęczenia i palącego słońca czuła entuzjazm i podekscytowanie, kiedy myślami wybiegała w przyszłość – do życia w nowym miejscu razem z Williem.

Jej uwagę przykuli towarzysze podróży. Niektóre kobiety, podążając za wozami, zbierały suche kawałki drewna i gałązki. Dzieci biegały tam i z powrotem, również podnosząc z ziemi chrust na opał. *Zapewne i one nie mogą się doczekać postoju* – pomyślała Missie i sama zaczęła rozglądać się za drewnem.

Z przodu zrobiło się małe zamieszanie. Woźnice, zgodnie z otrzymaną rano instrukcją, skręcali wozami, tworząc okrąg. Missie przyspieszyła kroku. Niedługo będzie mogła odpocząć w cieniu. Jakże wspaniale będzie usiąść na chwilkę i pozwolić, by popołudniowy wiatr ochłodził jej rozgrzaną twarz i ciało. Czekala też na okazję, by porozmawiać z Williem i dowiedzieć się, jak przetrwał tę krótką chwilę rozstania.

Tętno jej przyspieszyło, gdy zaczęła się zastanawiać, czy dzisiaj wieczorem przy ognisku będzie miała okazję szepnąć Williemu na ucho o coraz głębszym przekonaniu, że *być może* wkrótce zostaną rodzicami. Była tego niemal pewna, choć wciąż jeszcze mu nic nie powiedziała. *Nie chciałabym wzbudzać w nim złudnej nadziei lub obarczać go niepotrzebnym zmartwieniem* – tłumaczyła się przed samą sobą.

Czy Willie się ucieszy? Wiedziała, że uwielbia dzieci i pragnie mieć syna. Ale przypuszczała, że w obecnych okolicznościach będzie się o nią martwił. Wiązał wielkie nadzieje z wyprawą na Zachód i urządzeniem dla nich wspólnego domu, jeszcze *zanim* pojawią się dzieci. Długa podróż wozem może

okazać się niezwykle trudna dla przyszłej mamy. Tak, Willie mógłby uważać, że dziecko powinno począć się w innym, bardziej dogodnym czasie.

Missie nie miała takich obaw. Była młoda i zdrowa, a poza tym, zanim urodzi się dziecko, będą już przecież dawno na miejscu. Jednak celowo odkładała podzielenie się tą wieścią z Williem na późniejszy czas. Denerwowała się trochę, kiedy myślała, że jeśli dowiedziałby się wcześniej, mógłby zaproponować przesunięcie wyprawy do czasu, aż dziecko się urodzi. Wiedziała jednak, że i tak wystarczająco długo odkładał decyzję o wyjeździe.

Z tego względu chowała swój słodki sekret w sercu. Nie odważyła się zdradzić go nawet swojej mamie, choć całą sobą tego pragnęła. *Będzie się niepotrzebnie martwiła* – myślała sobie – *nie zmruży spokojnie oka, gdy będziemy w drodze.*

Z oddali obserwowała, jak wozy układają się w okręgu, jeden przy drugim. Willie odczepiał konie od jednego wozu, a Henry Klein – ich wynajęty woźnica – zajmował się drugim. Kiedy przez wiele tygodni pakowali rzeczy, było jasne, że jeden wóz nie wystarczy zarówno na mieszkanie w czasie podróży, jak i na transportowanie bagażu oraz całego wyposażenia gospodarstwa domowego. Clark, tata Missie, zaproponował, by wzięli drugi wóz i wynajął dla nich woźnicę. Inni uczestnicy karawany również mieli więcej niż jeden wóz, ale większość miała to szczęście, że powozić mogli podróżujący razem z nimi inni członkowie rodziny. Willie nawet przez sekundę nie pomyślał, by jego żona miała przysłużyć mu się w taki sposób.

Missie zbliżała się do swoich wozów. W karawanie było ich razem dwadzieścia siedem i teraz ze zgrzytem kół zajmowały

swoje miejsca, a spoceni woźnicy pokrzykiwali na konie, kiedy ustawiały się w okrąg na nocny postój.

Podeszła do Williego i obdarzyła go serdecznym uśmiechem.

– To był długi dzień... wyglądasz na wyczerpaną – powiedział z troską w oczach.

– Tak, jestem trochę zmęczona. Słońce tak mocno grzało, że chyba opadam z sił.

– A więc czas na porządny odpoczynek. Trochę cienia pomoże ci się odprężyć. Chcesz, żebym przyniósł ci z wozu krzesło albo koc?

– Sama to zrobię. Ty musisz zająć się teraz końmi.

– Pan Blake mówi, że zaraz za tym laskiem znajduje się potok. Zabierzemy tam konie i bydło do pojenia i przywiążemy je. Blake mówi, że jest tam też mnóstwo trawy.

– Kiedy chcesz zjeść kolację? – zapytała.

– Nie wcześniej niż za jakieś dwie godziny, także masz mnóstwo czasu na odpoczynek.

– Będę potrzebowała więcej drewna na ogień. Nie zdążyłam nazbierać wystarczająco...

– Nie spiesz się z ogniem. Nazbieram trochę chrustu, jak będę wracał. Henry też coś przyniesie. A ty odpocznij w cieniu. Wyglądasz na ledwie żywą – powiedział zaniepokojony.

– To z emocji i z powodu całej tej nowej sytuacji. Muszę się przyzwyczaić. Ale teraz, masz rację, odpocznę sobie w cieniu tych drzew. Dobrze mi zrobi, jak się na chwilę położę.

Willie odszedł z końmi i dwiema krowami, które w czasie drogi przywiązane były z tyłu wozu. Missie wzięła koc i rozłożyła go na ziemi w cieniu drzew.



Gnębiło ją lekkie poczucie winy. Wszystkie inne kobiety były zajęte jakąś pracą. Cóż... ona odpocznie przez chwilę, a potem też zacznie przygotowywać kolację. Usiądzie sobie wygodnie tylko na trochę.

Missie oparła się o pień drzewa i zamknęła oczy. Odwróciła głowę w stronę, skąd wiał lekki wiatr, rozwiewający luźne pasemka jej włosów i przyjemnie chłodzący jej rozgrzaną twarz. Zbolące kości błagały o ciepło, relaksujące zanurzenie w wannie. Gdyby tylko była w domu... Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Wielki dom rodziców, z przestronną kuchnią i szerokim holem, nie był już *jej* domem. A pokój na górze z falbaniastymi zasłonkami i kolorowymi dywanikami nie był już jej pokojem. Należała teraz do Williego, a on do niej. Pomodliła się krótko o to, by okazała się godną takiego mężczyzny, jakim był Willie, oraz by Bóg pomógł jej stworzyć dla niego dom wypełniony szczęściem i miłością. Mając wciąż zamknięte oczy, poczuła jak jej zbolące ciało bezwładnie osuwa się na koc.

*Nie zważaj na to – rozkazywała sobie – nie zważaj na to, to tylko chwilowe. Zaraz przejdzie.*



Rozdział 2

## Koniec dnia

Missie otworzyła oczy, zaskoczona zmianami, jakie zobaczyła wokół siebie. Było już znacznie chłodniej, a słońce, tak mocno przypiekające w ciągu dnia, wisiało teraz nisko nad horyzontem.

W powietrzu unosił się przyjemny i ostry zapach dymu z ogniska. Oprócz niego czuć było aromat podgrzewanego jedzenia i parzonej kawy. Żołądek Missie ścisnął się z głodu. W pełni przebudzona, rozejrzała się i poczuła zakłopotanie, kiedy zobaczyła, że pozostałe kobiety krzątają się przy robieniu kolacji. Z pewnością w czasie, kiedy drzemała, wszystkie one pilnie pracowały. Co też musiały sobie o niej pomyśleć? Wkrótce wróci Willie i nie zastanie nawet rozpalonego ogniska.

Wstała pospiesznie i udała się w kierunku wozu. Wygładziła sukienkę oraz zmierzwiłone włosy. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ogień, który płonie tuż obok ich wozu to *ich* ognisko, a smakowity zapach mięsa oraz kawy wydobywa się z *ich* garnków. Próbowła pouklądać sobie to wszystko w głowie, gdy

nagle Willie wyjrzał ze środka wozu. Na jego twarzy wciąż widoczne było zaniepokojenie, ale wkrótce, kiedy jej się przyjrzał, poczuł ulgę.

– Wyglądasz już trochę lepiej. Jak się czujesz?

– Dobrze... naprawdę, wszystko dobrze – zająknęła się, po czym dodała ściszym głosem: – Ale śmiertelnie mi wstyd.

– Wstyd? – głos Williego wydał jej się nienaturalnie głośny.  
– Dlaczego?

– No wiesz... Ja tu sobie drzemie w środku dnia, a ty... rozpalasz ogień, robisz kawę i... Ojej, oni wszyscy sobie pomyślą, że mój mąż wszystko musi robić za mnie!

– Jeśli tylko tym się martwisz – odpowiedział Willie – to myślę, że możemy nauczyć się z tym jakoś żyć. Poza tym, to nie ja rozpałam ogień, tylko Henry. Strasznie mu się spieszyło z kolacją. Ludzie, ile on potrafi zjeść! Zanim dotrzemy na miejsce, będziemy chyba musieli zarznąć obie te krowy, żeby go wyżywić.

– Czyli Henry już jadł?

– Oczywiście, że tak... zostawił nawet trochę dla nas. Szybko skończył, bo jak się okazuje, w naszej kolumnie jadą dwie młode dziewczyny. Chyba poszedł się z nimi zapoznać – Willie mruknął do niej porozumiewawczo.

– A ty nie wychodzisz z wozu? – zapytała Missie.

– Właśnie szukałem chleba. Nie mogę niczego znaleźć między tymi wszystkimi garnkami, puszkami i skrzyniami. Nie pamiętasz, gdzie go włożyłaś? Henry łapczywie zjadł wszystko bez chleba, ale ja chciałbym ukroić sobie kromkę do kolacji.

Missie się roześmiała.

– Naprawdę? – pokręciła głową. – Założę się, że już go miałeś w rękach. Jest tutaj, masz go niemal pod nosem... – wgramoliła się na wóz – o tutaj. Zaraz ci ukroję kawałek. Mama przygotowała nam też ciasto, specjalnie na pierwszy wieczór w podróży.

Kiedy Missie wyjęła chleb i ciasto z pudełek, znowu coś w niej drgnęło. Stała jej przed oczami rozpalona twarz Marty pochylonej nad piecem i wyjmującej formy z ciastem dla dwojga młodych ludzi, których tak bardzo kochała.

Willie zdawał się wyczuwać nastrój Missie. Splótł ręce wokół jej talii i przytulił ją do siebie.

– Jej też na pewno ciebie brakuje – powiedział czule, całując jej włosy.

Missie z trudem przełknęła ślinę.

– Tak, wiem... – wyszeptwała.

– Missie... – zawahał się Willie – jesteś pewna, że chcesz jechać? Wiesz, wciąż jeszcze nie jest za późno, żeby zawrócić. Jeśli tylko masz jakieś wątpliwości... Jeśli czujesz...

– Ojej, oczywiście, że nie! – odpowiedziała Missie stanowczo. – Nie mam żadnych wątpliwości. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę twoją ziemię i kiedy zbudujemy na niej nasz własny dom. Przecież wiesz o tym! Pewnie, że będę tęsknić za mamą, tatą, za całą rodziną, zwłaszcza na początku... Ale będę musiała kiedyś się z tym uporać, dorosnąć. Tak jak zresztą każdy.

Jak Willie mógł w ogóle pomyśleć, że jest taka samolubna i chce zaprzepaścić jego marzenia?

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że tak!

– To nie będzie łatwa podróż, wiesz o tym.

– Wiem.

– I nie będzie nam łatwo również wtedy, kiedy dotrzemy już na miejsce. Nie będziemy mieć jeszcze domu, sąsiadów, kościoła... Będzie ci tego wszystkiego brakowało, Missie.

– Ale będę miała ciebie.

Willie przytulił ją znowu do siebie.

– Obawiam się, że nie zrekompensuję ci tego wszystkiego, co zostawiłaś w domu rodzinnym. Ale bardzo cię Kocham, Missie. Bardzo...

– Tylko tego potrzebuję – wyszeptała. – Miłość jest jedyną rzeczą, bez której nie mogłabym żyć – pocałowała go w policzek. – Dopóki będziesz mnie kochał, powinnam sobie jakoś poradzić.

Delikatnie wyślizgnęła się z jego objęć.

– Zjedzmy lepiej to, co przygotowałaś na kolację. Jestem okropnie głodna.

Willie przyznał jej rację.

– Ale obawiam się, że kiedy spróbujesz mojej kuchni, możesz zmienić zdanie...

Roześmiali się oboje.

Kiedy skończyli posiłek i Missie pozmywała naczynia, Willie wyciągnął oprawioną w irchę Biblię, dodatkowo starannie zapakowaną w pergamin.

– Tak sobie myślałem – odezwał się – że nasze poranki będą krótkie, bo będziemy musieli szybko się uwijać. Uznałem, że łatwiej będzie nam czytać Biblię wieczorami.

Missie zgodziła się z mężem i usiadła wygodnie obok niego. Wciąż było jeszcze wystarczająco widno na lekturę, ale wkrótce znacznie się powoli ściemniać. Willie znalazł odpowiedni fragment i zaczął czytać na głos:

– „Nie lękaj się, bo Ja jestem z tobą; nie trwóż się, bom Ja twoim Bogiem. Umaciam cię, jeszcze i wspomagam, podtrzymuję cię moją prawicą sprawiedliwą”.

– Twój tato podkreślił dla nas ten werset. Kiedy dzisiaj rano wręczał mi Biblię, przeczytał mi go i jeszcze zaznaczył czerwoną wstążką. Powiedział, żebyśmy razem czytali ten werset i przypominali go sobie każdego dnia, aż stanie się czymś realnym i znaczącym w naszych sercach.

– To odpowiedni werset – powiedziała Missie drżącym głosem. Gdyby teraz zamknęła oczy, zapewne w wyobraźni zobaczyłaby tatę siedzącego przy stole w kuchni z otwartą Biblią przed sobą i całą rodzinę zgromadzoną przy nim. Może nawet usłyszałaby jego głos wypowiadający poranną modlitwę. Jej tata – duchowy przywódca rodziny. Teraz głową jej rodziny był Willie – odtąd on był jej duchowym przywódcą; odtąd u niego będzie szukała wsparcia i prowadzenia na każdy dzień – szczęśliwy czy też trudny. Nie była już córeczką Clarka; była kobietą i żoną. Clark przekazał opiekę nad nią w ręce Williego. Choć Missie była pewna miłości ojca i jego modlitw, wiedziała, że bardzo cieszy go również świadomość, iż jego córka zajmuje teraz właściwe miejsce w swoim życiu... przy boku Williego.

Missie chwyciła męża za rękę i wtuliła się w jego ramię, kiedy razem modlili się do Boga. Willie podziękował Mu za to, że był z nimi przez cały dzień i za miłość osób, z którymi się

rozstali. Modlił się, by Bóg pocieszył ich serca w tym trudnym czasie, kiedy razem z Missie będą uczyli się żyć z dala od swoich rodzin. Poprosił o bezpieczeństwo w czasie podróży, a szczególnie o siły dla Missie na długie dni, jakie są jeszcze przed nimi – w jego głosie znów dało się wyczuć troskę. Missie uznała, że dzisiejszy wieczór nie jest dobrą okazją, by zdradzić mężowi swój sekret. Nie było sensu dodatkowo go martwić. Lepiej poczekać, kiedy sama przyzwyczai się do podróży po wyboistej drodze, do przemierzania jej pieszo, i kiedy zahartuje się jej rytmem. Poza tym – wmawiała sobie – wciąż sama nie jest do końca pewna.

Jeśli ma rację (a w głębi duszy przyznawała, że musi ją mieć), to zapewne z każdym upływającym dniem będzie nabierała nowej energii i sił fizycznych. Na pewno świeże powietrze i dodatkowy ruch dobrze jej zrobi. Poczeka jeszcze jakiś czas. Może niedługo Willie sam zobaczy, że jest zdrowa i silna, a wtedy wyjawia mu swój sekret. Będzie, zapewne tak jak ona, podekscytowany perspektywą zostania rodzicem.

Och, gdyby tylko mogła powiedzieć o tym mamie i tacie, spojrzeć im prosto w oczy i oznajmić z radością: „Chyba wkrótce zostaniecie dziadkami – co wy na to?”. Na pewno przytuliliby ją i razem śmialiby się i płakali ze szczęścia. Jak wiele sprawiłaby im radości, dzieląc się z nimi tą dobrą nowiną. Ale cóż... nie powiedziała im... i nie był to też jeszcze najlepszy czas, by powiedzieć Williemu. Postanowiła poczekać.



### Rozdział 3

## Kolejny dzień podróży

Missie z trudem przewracała się na drugi bok. Robiła to ostrożnie, sprawdzając, jak bardzo zabolą ją plecy, ręce i nogi. A bolało ją dosłownie wszystko! W półśnie nie potrafiła uzmysłwić sobie, co było tego przyczyną. Gdy odchodziła senność, wszystko powoli jej się przypominało, a w jej sercu pojawiały się na przemian uczucie ekscytacji i obawa. Zmierzali z Williem na podbój Zachodu, tłukąc się wczoraj wozem po wyboistej drodze. Kiedy trudno jej już było to znieść, schodziła z wozu i szła pieszo tak długo, dopóki jej ciało znów nie zaczynało protestować. Teraz, po nocy spędzonej na twardym, wąskim łóżku w swoim nowym „mieszkaniu” na kółkach, czuła się jeszcze bardziej obolała.

*Williego też zapewne boli każdy mięsień* – pomyślała. Wyciągnęła do niego rękę, ale natrafiła jedynie na pustą poduszkę. Willie niepostrzeżenie opuścił już ciasne pomieszczenie w wozie, które przez wiele tygodni będzie stanowiło ich dom. Missie szybko wstała z łóżka, tłumiąc jęk.



– Kolejny raz zawiodłam – mruknęła do siebie. – Zapewne Willie znów sam musiał przygotować sobie śniadanie.

Ubrała się prędko i zeszła z wozu. Wciąż czuła sztywność mięśni, ale ucieszyła się na widok słońca ukazującego swe wczesne, złote promienie na wschodnim horyzoncie. Kilka pierwszych osób krzątało się już po obozie. Willie zdążył rozpalić ogień, który płonął teraz spokojnie. Missie dorzuciła jeszcze kilka gałęzi i obserwowała, jak przyjaźnie zostają przyjęte przez ognisko, które wydaje trzaskające odgłosy.

– Ojej! – zawołała bezgłośnie. – Ciekawe, czy kiedykolwiek zdołam rozprostować te moje obolałe mięśnie.

Postanowiła przespacerować się tam i z powrotem, wykonując energiczne ruchy rękami i w ten sposób je rozciągając. *Ale ze mnie wiejska dziewczyna! Po jednym dniu marszu jestem aż tak zmęczona! Mama chyba za bardzo mnie rozpieszczała i dawała za mało do roboty.* Skruszona potrząsnęła głową.

Spacerując sobie żwawo, zauważyła kolejny powód, dla którego powinna się ruszać. Chłodny poranek ściągał całe stada żarłocznych komarów, od których musiała się opędzać. Po krótkiej wizycie w pobliskim lasku postanowiła wrócić do wozu po bluzkę z długimi rękawami, by ochronić ręce przed ukąszeniami. Potem wlała sporą ilość rzecznej wody z wiadra do miski. Usiadła na ławce z tyłu wozu i rozpoczęła poranną toaletę. Woda była zimna. Missie z przyjemnością sięgnęła po szorstki ręcznik, by wytrzeć w niego twarz oraz ręce, i znowu poczuć przyjemne ciepło. Była odświeżona i gotowa do rozpoczęcia nowego dnia. Powiesiła ręcznik na haczyku, po czym zabrała się za przygotowywanie śniadania. Kawa już bulgotała w czajniku,

a skwierczący bekon z jajkami wydzielał aromat świadczący o tym, że wszystko jest gotowe do spożycia. Wtedy z wozu wyłonił się Henry.

Missie myślała o nim jako o młodym chłopaku, ale uśmiechnęła się do siebie, zdając sobie właśnie sprawę, że musiał być niewiele młodszy od Williego. *Mimo to – pomyślała – nie przejawia oznak tej samej dojrzałości, co Willie.*

– Witaj Henry.

– Dzień dobry pani.

Określenie „pani” wywołało uśmiech na jej twarzy.

– Jesteś głodny?

Henry uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście, że tak.

– A dobrze spałeś?

– Te nieznośne komary chyba nikomu nie dały spać spokojnie. Założę się, że nawet konie musiały przez całą noc stąpać i opędząć się ogonami.

– Mnie komary zaczęły dręczyć dopiero rano, kiedy wstałam. Może nie zdążyły jeszcze powlatywać nam do wozu.

– Willie mówił, że też go pokąsały.

Missie przewróciła bekon i popatrzyła na Henry'ego.

– Naprawdę? To chyba zbyt mocno spałam, żeby je zauważyć. A wiesz, gdzie Willie teraz jest?

– Byliśmy razem przy koniach i krowach, a potem on poszedł porozmawiać z panem Blakem.

– Wszystko w porządku? – zmarszczyła brwi, podnosząc głowę znad patelni.

– W jak najlepszym. Myślę, że Willie chciał sobie z nim po prostu pogawędzić i podpytać go, dokąd dojedziemy dzisiaj.

– Aha.

Takie wyjaśnienie wystarczyło, by uspokoić obawy Missie. Zaczęła więc rozkładać talerze do porannego posiłku. Wkrótce usłyszała znajomy odgłos gwizdania. To Willie. Jej serce jak zwykle zatrzepotało z radości. Uwielbiała ten dźwięk. Był on pewnym znakiem, że wszystko w ich świecie układa się we właściwym porządku. Willie okrążył wóz i przerwał gwizdanie.

– Ojej! Ale wcześniej dzisiaj wstałaś – uśmiechnął się. – Myślałem, że Henry i ja... – w tym momencie urwał, widząc wyraz twarzy Missie. – Dokuczały ci komary?

Missie odpowiedziała uśmiechem.

– Prawdę mówiąc, nawet ich nie zauważyłam. To moje obołale mięśnie jako pierwsze dały o sobie znać. Musiałam wstać i je porozciągać. Czy ty też czujesz się trochę zeszywniały?

– Myślę, że skłamałbym, gdybym się nie przyznał, że boli mnie tu i tam... – stwierdził Willie, szczerząc zęby. – Ale nic więcej na ten temat nie powiem. Dojrzały, zdrowy mężczyzna nie powinien narzekać na takie rzeczy. Ludzie pomyśleliby, że nie przepracowałem w swoim życiu ani dnia.

Missie spojrzała na umięśnione ciało męża.

– Jeśli tak powiedzą – stwierdziła – to znaczy, że źle patrzą.

– Człowieku, nigdy jeszcze nie czułem takiego bólu – wtrącił się Henry. – Nie zdawałem sobie sprawy z tego, ile trzeba się napracować przy prowadzeniu wozu podskakującego na wybojach i jak bardzo mogą rozboleć od tego ręce.

– Przyzwyczajmy się – zapewnił go Willie, podsuwając sobie kłodę do siedzenia. – Za kilka dni zapomnimy, że nas cokolwiek bolało.

Willie poprosił Boga, by pobłogosławił jedzenie i nowy dzień, jaki rozpoczynali, a potem Missie podała śniadanie.

Po posiłku Henry poszedł przygotować drugi wóz. Kiedy Missie zmywała naczynia i pakowała rzeczy, Willie dokładnie sprawdził swój wóz i uprzęż. Wszyscy inni uczestnicy wyprawy też krzątali się wokół swoich dobyteków. Pośród odgłosów biegających i krzyczących dzieci, szcękających psów i wołających matek, Missie usłyszała płacz niemowlęcia.

– Nie wiedziałam, że mamy tu gdzieś takie małe dziecko – skomentowała, obserwując Williego kątem oka.

– Tak, to dziecko Collinsów – odpowiedział. – Ma zaledwie siedem miesięcy. Rozmawiałem z jego tatą.

– To trudna podróż dla takiego małego brzdąca.

– I dla jego młodej mamy...

– Czy to jej pierwsze dziecko?

– Nie, ma jeszcze jedno, dwuletnie, jak mi się zdaje.

Missie zamilkła na moment, po czym odezwała się znowu:

– Na pewno ma ręce pełne roboty. Może z pozostałymi kobietami będziemy mogły jej od czasu do czasu w czymś pomóc.

– Myślę, że będzie wdzięczna – powiedział Willie. – Jest jeszcze jedna kobieta w naszej kolumnie, która też czasami może potrzebować pomocy.

Missie odwróciła się do niego.

– Źle się czuje?

– Nie, chyba nie. Zresztą, nie mnie sądzić... Po prostu spodziewa się dziecka.

– Aha.

Missie poczuła, że robi się czerwona na twarzy. Miała jednak nadzieję, że Willie tego nie zauważył.

– Może się zdarzyć, że maluch urodzi się w czasie podróży – kontynuował Willie. – Rozmawiałem z kierownikiem wyprawy, ale powiedział, żeby się tym nie martwić. Mówi, że nieraz zdarzyło mu się już, że po drodze przyszło na świat dziecko. Mamy ze sobą położną, panią Kosensky. Słyszałem, że asystowała już wiele razy przy porodach. Jednak, gdyby tu chodziło o moją żonę...

Kiedy urwał myśl, Missie zapytała prowokująco:

– Gdyby chodziło o twoją żonę, to co?

– Wolałbym, żeby urodziło się już w naszym własnym domu... i z lekarzem pod ręką, tak na wszelki wypadek. Mimo mocnego zapewnienia pana Blake'a, miałem wrażenie, że był nieco zaniepokojony tą sytuacją i wolałby, by młoda mama mogła bezpiecznie dojechać do miasta i tam znaleźć opiekę, gdy nadejdzie czas porodu.

– Gdyby miał jakieś obawy – argumentowała Missie – to pewnie by się nie zgodził, żeby jechali z karawaną.

– Z tego, co zrozumiałem, o tym, że spodziewają się dziecka powiedzieli Blake'owi dopiero po załatwieniu wszystkich formalności. Wtedy nie mógł im już odmówić. Mieli już sprzedaną farmę i nie było odwrotu.

– Więc nie można o nic winić pana Blake'a. Po prostu nie wiedział.

– Ale jej mąż wiedział.

Missie odwróciła się, by zająć ręce pakowaniem dzbanka do kawy oraz patelni.

– Jestem pewna, że wszystko się dobrze ułoży. Zapoznam się z nią dzisiaj. Nie wiesz, jak się nazywa?

– Jej mąż ma na nazwisko Clay. Chyba John Clay, ale nie jestem pewny.

– A widziałeś ją?

– Tylko z daleka. Ich wóz jest jednym z pierwszych w kolumnie. Obserwowałem ich wczoraj wieczorem, kiedy szedłem poić konie. Pomagał jej schodzić z wozu. Nie wydaje mi się, by wczoraj na dłużej z niego wychodziła.

– Przyzwyczaj się – powiedziała szybko Missie, lecz tak naprawdę nie była pewna swoich słów. – Może dzisiaj wyjdzie na trochę dłużej i będę miała okazję z nią porozmawiać.

Jeden z przewodników kolumny zdążył do nich na dużej, smukłej klaczy z dzikimi oczami. Missie patrzyła na wielkiego kościstego konia i pomyślała, że wygląda dość groźnie. Była pewna, że nie chciałaby na takim jeździć.

Przewodnik zataczał krąg i wołał do wszystkich po kolei:

– Łączymy się w kolumnę! Zaraz wyruszamy!

Mężczyźni jak jeden mąż udali się w kierunku swoich koni. Kobiety w pośpiechu pakowały z powrotem rzeczy do wozów, gasiły ogniska i zwoływały resztę rodziny. Missie, gotowa do podróży, stała obok wozu i obserwowała panujące wokół zamieszanie.

Znowu usłyszała płaczące niemowlę. Kochała dzieci, a wychowując się w rodzinie Davisów, miała wiele doświadczenia

w opiece nad maluchami. Wciąż rozważała, na ile mądrym było podążanie na Zachód z takim małym dzieckiem. Mogłaby zaofiarować matce pomoc, a przy tym zdobyć trochę macierzyńskiego doświadczenia dla siebie samej, bo przecież niedługo przyjdzie na świat jej własne maleństwo.

Pomyślała też o drugiej kobiecie, przyszłej matce, mając nadzieję, że może dziś uda jej się poznać ją osobiście. Z całego serca chciała, by wszystko dobrze jej się ułożyło. Lecz troska wyrażona przez Williiego krępowała ją i gnębiła. *Porozmawiam z panią Kosensky – pomyślała. – Była przy porodach tak wielu dzieci i będzie wiedziała, co robić.*

Missie otrząsnęła się z niepokoju i odsunęła od siebie dręczące poczucie winy z powodu tego, że nie powiedziała mężowi o ciąży przed wyjazdem. *Przecież nie byłam jeszcze pewna – tłumaczyła sobie wciąż na nowo. – Nie było sensu dawać Williemu kolejnego powodu do odwlekania podróży.* Wspięła się na ławkę za mężem i obdarzyła go uśmiechem.



#### Rozdział 4

## Towarzystwo w podróży

Tego dnia Missie starała się zapoznać z kolejnymi współtowarzyszkami podróży. Odszukanie pani Collins okazało się dość łatwe. Missie udała się po prostu w stronę, skąd dochodził płacz dziecka. Podczas przerwy w południe zorientowała się, że wóz Collinsów znajdował się niedaleko. Pani Collins, z małym chłopcem przyczepionym do spódnicy oraz płaczącym niemowlęciem niespokojnie kręcącym się na biodrze, próbowała przygotować posiłek dla swojej głodnej rodziny.

Missie uśmiechnęła się i przedstawiła.

– Właśnie skończyłam swój posiłek – powiedziała – i pomyślałam, że mogłabym pomóc przy niemowlęciu, a pani mogłaby spokojnie przygotować obiad.

– Ojej, naprawdę? – zapytała pani Collins z ulgą w głosie. – Byłabym bardzo wdzięczna. Płacz Meggie wyprowadza mnie z równowagi. – Odsunęła od siebie chłopca. – Joey, proszę, bądź cierpliwy. Mama zaraz da ci obiad. Usiądź i poczekaj chwilę.



Chłopiec usiadł na ziemi i zaczął płakać jeszcze głośniej. Missie wzięła na ręce niemowlę. Jego płacz zdawał się dorównywać krzykowi chłopca. Poszła z dziewczynką w kierunku swojego wozu. Biedna mama musiała w jakiś sposób poradzić sobie z rozkapryszonym synem.

Missie spacerowała tam i z powrotem obok swojego wozu, delikatnie kołysząc na rękach niemowlę i uśmiechając się łagodnie. Płacz milkł tylko wtedy, gdy od czasu do czasu dziecko dostawało czkawki, która targała jego maleńkim ciałkiem. Missie nie przestawała kołysać dziecka, cały czas je nosząc. W końcu udało jej się uspokoić niemowlę i mała Meggie zasnęła jej na rękach.

Missie wróciła z dzieckiem do matki, która właśnie skończyła podawać posiłek mężowi oraz synowi i teraz sprzątała naczynia. *Mam nadzieję, że sama też zdążyła coś zjeść* – pomyślała współczująco Missie.

Joey siedział już spokojnie na kocu i nie płakał, choć na policzkach wciąż miał ślady po łzach zmieszanych z pyłem z drogi. Wyglądał na śpiącego. Missie zastanawiała się, jak długo będzie taki spokojny i kiedy znowu zacznie płakać.

– Dziękuję... jestem taka wdzięczna – powiedziała pani Collins, kiedy zobaczyła Missie. – Może ją pani położyć w wozie na łóżku?

Missie weszła z maleństwem do wozu. Musiała odsunąć z łóżka kilka przedmiotów, by zrobić trochę miejsca dla dziecka. Zauważyła, że rodzina Collinsów ma o wiele mniejszą przestrzeń mieszkalną niż ona z Williem, a jest ich przecież czworo!

Missie wynurzyła głowę przez poły plandeki.

- Wygląda na to, że Joey też potrzebuje drzemki – stwierdziła.
- Tak, jest bardzo zmęczony – westchnęła matka. Missie za-uważała, że pani Collins też przydałoby się położyć.
- Mogę go uspić – zaoferowała się Missie, zastanawiając się jednocześnie, czy Joey pozwoli się zaprowadzić do łóżka przez obcą osobę.

Ku jej zdziwieniu nie protestował. Chwyciła go delikatnie za rączkę i pomogła wstać. Potem wzięła go na ręce i zanim weszła z nim do wozu, zatrzymała się na chwilę, by umoczyć róg fartucha w wodzie i obmyć mu twarz od zaschniętych łez i kurzu. Buzię miał ciepłą i rozpaloną, więc chętnie przystał na zwilżenie jej chłodnym okładem.

Missie położyła Joey'a na łóżku w odpowiedniej odległości od Meggie, tak by nie obudził małej. Zanim opuściła wóz, długie rzęsy Joey'a zatrzepotały, jakby walcząc ze znużeniem. Była pewna, że sen rychło zwycięży i chłopiec odpocznie, co poprawi jego nastrój. A gdy się obudzi, mamie łatwiej już będzie sobie z nim poradzić.

Zeszła z wozu, kiedy pani Collins właśnie kończyła chować ostatnie przybory kuchenne. Wozy były gotowe do odjazdu na popołudniowy odcinek podróży.

- A może pani też by się położyła i przespała razem z dziećmi? – poradziła Missie.

Pani Collins westchnęła głęboko.

- Chyba właśnie tak zrobię – powiedziała. – Po prostu nie wiem, jak mam pani dziękować. – Zamrugowała jakby chciała ukryć łzy wzruszenia. – Tak naprawdę myślałam, że już nie dam rady.

– Z każdym dniem będzie coraz lepiej – zapewniła ją Missie, mając nadzieję, że tak się stanie.

– Ufam, że tak będzie... naprawdę.

– Pomożemy wam.

– Dziękuję – młoda mama spuściła głowę i drżącym głosem dodała: – To bardzo miłe z waszej strony.

– Proszę się teraz położyć. Zajrzę do was później.

Pani Collins pokiwała głową, starając się uśmiechem wyrazić swoją wdzięczność. Z trudem wspięła się na wóz. Missie wiedziała, że wewnątrz jest gorąco, gdyż był to dopiero środek upalnego dnia, ale jednocześnie najbardziej komfortowa pora odpoczynku dla zmęczonej obowiązkami matki.



Tego popołudnia Missie na zmianę jechała na wozie i marszerowała obok niego. Idąc, rozmawiała z kobietami i dziećmi. Poznała panią Standard, miłą kobietę o krępej budowie ciała i siwiejących włosach. Miała ośmioro dzieci: pięć dziewczynek i trzech chłopców. Missie dowiedziała się, że była drugą żoną pana Standarda. Zaledwie siedem miesięcy temu została mężatką i jednocześnie matką. Przystosowanie się do opieki nad gromadką ośmiorga dzieci było dla niej zapewne dużym wyzwaniem. Zawsze chciała mieć rodzinę, ale zyskanie ósemki dzieci naraz – i to w różnym wieku, różnego wzrostu i o różnych temperamentach – było niezwykłym przedsięwzięciem. Missie podziwiała kobietę za jej entuzjazm i poczucie humoru w stawianiu

czoła tak wielkim zmianom w życiu. Pani Standard pochodziła z miasta, więc jej małżeństwo z wdowcem wiązało się z wyzwaniem, jakie czeka osadników rozpoczynających nowe życie na dalekim Zachodzie. On był przekonany, że właśnie tam czeka na nich szczęście, więc pani Standard spakowała ósemkę dzieci wraz z kilkoma niezbędnymi osobistymi rzeczami, na jakie wystarczyło miejsca w wozie, i ruszyła z nim w długą podróż.

Kroku pani Standard dotrzymywała zwykle pani Schmidt – mała, szczupła, lekko kulejąca kobieta z trójką dzieci – dwoma prawie już dorosłymi synami i ośmioletnią córką.

Żadna z tych dwóch kobiet nie mówiła zbyt wiele. Missie domyślała się, że wydawanie poleceń ogromnej rodzinie stanowiło dostatecznie dużą ilość słów i pani Standard nie potrzebowała się więcej odzywać. A pani Schmidt chyba po prostu nie należała do rozmownych. Była zajęta głównie jakąś pracą, a nie mówieniem. Zdołała zawsze nazbierać więcej drewna, niż wieczorem spalała w ognisku.

Do grona podróżujących kobiet należała też ciemnowłosa pani Larkin, która zawsze wyglądała na nieszczęśliwą, a także pani Page, która szybciej mówiła niż szła, a chód miała niezwykle żwawy. Ktokolwiek był chętny do słuchania, a także niektórzy mniej chętni, dowiedzieli się, co pani Page posiada, ile kosztował każdy przedmiot i gdzie go nabyła lub jak otrzymała. Missie wytrzymywała krótkie „sesje” wynurzeń tej kobiety i oddalała się najszybciej, jak potrafiła, słusznie tłumacząc się koniecznością zbierania chrustu.

Pani Thorne, wysoka kobieta o piaskowych włosach, maszerowała wyprostowana i sztywna, stawiając długie kroki

w męskim stylu. Troje dzieci w podobny sposób – długimi, zwawymi krokami – podążało za nią, wymachując swobodnie rękami. Missie była pewna, że pani Thorne świetnie sobie poradzi na Zachodzie.

Okazało się, że młodą kobietą, która pierwszego dnia podróży pomachała przyjaźnie do Missie, była Kathy Weiss, podróżująca ze swoim owdowiałym ojcem. Miała promienny uśmiech, serdeczne usposobienie i sprawiała wrażenie marzycielki. Missie czasami zastanawiała się, czy ta dziewczyna w ogóle zdaje sobie sprawę, dokąd prowadzi ją ta podróż, czy może czuje się jak na popołudniowym spacerze po lesie, który tylko nieznacznie się przedłużył.

Kathy zdążyła się już zaprzyjaźnić z młodą panią Crane, która była typem porcelanowej lalki i wyglądała, jakby była w stanie nieustannego szoku z powodu tego, co ją spotyka. Swym strojem wprowadzała do orszaku element elegancji. Zamiast zwykłej, aczkolwiek praktycznej bawełny – materiału bardzo wygodnego do podróży – wkładała stylowe sukienki i czepki oraz niepraktyczne, eleganckie buty. Zabiegi związane z wyglądem zewnętrznym zajmowały jej każdego poranka więcej czasu niż przygotowywanie śniadania. Missie z uśmiechem reagowała na jej próżność, lecz całym sercem jak najlepiej życzyła owej dziewczynie, tak mało praktycznie podchodzącej do tej trudnej podróży w nieznaną.

Missie udało się odnaleźć położną, panią Kosensky, i od razu polubiła tę odważną kobietę o matczynym sercu. Jej serdeczny wyraz twarzy i uśmiech na zawołanie sprawiały, że Missie, gdyby mogła, chętnie ulżyłaby jej w podróży. Starsza, dość krępa

kobieta miała problemy zarówno z jazdą na przechylającym się wozie, jak i z pieszą wędrówką po nierównej drodze.

Missie obserwowała mieszające się podczas marszu grupki ludzi. Obiecała sobie, że postara się zapoznać ze wszystkimi i jak najlepiej wykorzystać okazję do zawarcia przyjaźni. Ponieważ wszyscy mieli wspólny cel i zmierzali w jednym kierunku, Missie wydawało się, że powinni być choć trochę do siebie podobni, ale jakże się zdziwiła dostrzegając różnice osobowości, wieku, czy pochodzenia wśród poszczególnych uczestników podróży.

Szczególnie wypatrywała przyszłej mamy, o której wspominał jej Willie. Nie mogła się doczekać, kiedy osobiście pozna młodą panią Clay, z którą czuła pewną więź, mimo że jeszcze przez jakiś czas postanowiła strzec swojej tajemnicy. Missie za każdym razem, kiedy szła, wciąż nie widywała wśród maszerujących pani Clay. Podobnie jak poprzedniego dnia, choć podróż zakończyła się dość wcześnie, Missie słała się na nogach ze zmęczenia. Położyła za wozem kilka nazbieranych po drodze kawałków drewna i poszła porozmawiać z Williem.

Kiedy jego ręce wyprzęgały konie, zauważyła, że miejsca, gdzie trzymał lejce, pokryte są pęcherzami. Wspomniała o tym, ale Willie machnął ręką i powiedział beztrósco:

– Niedługo ręce mi się zahartują, pewnie za kilka dni. A ty jak się czujesz?

– Zmęczona i obolała. Ale i tak myślę, że znoszę podróż o wiele lepiej niż niektóre kobiety. Zauważyłam, że biedna pani Crane utyka, kiedy przez chwilę musi zejść z wozu i iść pieszo.

– Czy to ta kobieta, co wygląda jak paw z nastroszonymi piórami?

Missie nieznacznie się uśmiechnęła.

– Nie bądź dla niej zbyt surowy. Po prostu lubi się ładnie ubierać.

– Cóż, rozsądniej byłoby spakować te eleganckie stroje na jakiś czas i założyć coś odpowiedniego do drogi.

– Może masz rację, ale to ona sama musi podjąć taką decyzję.

– A ja jestem szczęśliwy, że moja żona nie ma takich szalonych pomysłów – powiedział i spojrzał na nią z uśmiechem. – Lepiej trochę odpocznij – stwierdził, przypatrując jej się uważnie. – Dzisiaj znowu wyglądasz na wyczerpaną.

Missie rzeczywiście odpoczęła, choć tym razem zdecydowała, że będzie się pilnować, by nie zasnąć. Ponieważ w okolicy nie było drzew, usadowiła się przy kole od wozu i wyjęła robótkę. Zauważyła, że inne kobiety i dzieci też siadały wokół swoich wozów, szukając cienia, w którym mogłyby odpocząć. Pani Schmidt była jedyną krzątającą się osobą. Nie przestawała zbierać drewna i układać go w stos.

Od strony sąsiedniego wozu dochodziło ciche chrapanie. Missie spojrzała w tamtą stronę i ujrzała panią Thorne rozłożoną na trawie obok wozu, z ręką pod głową.

Nie przeszkadzało jej zamieszanie, jakie panowało wokół kolejnego wozu, przy którym pani Standard opatrywała krwawiący palec u nogi jednego ze swoich pasierbów. Dziecko głośno płakało, gdy oczyszczała jego ranną stopę, ale szybko się uspokoilo, kiedy zobaczyło, że palec owinięty jest już białym, czystym bandażem. Wkrótce pokuśtykało i szukało osób, które docenią symbol jego odwagi.

Inne dziecko Standardów tarzało się po ziemi, bawiąc się z psem. Pani Standard oddaliła się od szczekającego radośnie psa oraz śmiejącego się chłopca, po czym, westchnąwszy ciężko, usadowiła się na ziemi, by odpocząć. Zdjęła buty i zaczęła masować sobie stopy. Missie czuła, że jej stopy też są obolałe, więc mogła doskonale sobie wyobrazić odczucia tej kobiety.

Wydawało jej się, że cenny czas odpoczynku uciekał równie szybko jak słońce, które chowało się już za horyzontem. W obozie stopniowo zaczynała się krzątanina. Pani Schmidt jako pierwsza rozpałała swoje ognisko. *Musiła przecież zacząć wcześniej niż inni, skoro miała zużyć całe drewno, które nazbierała* – pomyślała Missie z uśmiechem i odłożyła robótkę. Dym zaczął unosić się w górę, a wieczorne powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Nadszedł już czas, by przygotować kolację.

Zanim Willie wrócił, ognisko już płonęło, a w garnku dusiło się mięso z jarzynami. Missie nie musiała piec chleba – zapasy, w jakie wyposażyła ją mama, wystarczą zapewne jeszcze na wiele dni, mimo że niebawem pieczywo straci swą świeżość. Tego wieczora wciąż było jeszcze miękkie. Missie delectowała się każdym jego kęsem.

Henry jadł z wilczym apetytem, a Missie zauważyła, że Willie wcale nie był od niego gorszy.

– Tak sobie pomyślałam – powiedziała – że powinniśmy byli wziąć ze sobą jedną krowę mleczną zamiast tych dwóch, które za parę miesięcy się ociełają.

– Brakuje ci mleka? – zagadnął Willie.



– Jeśli o mnie chodzi, wystarczy kawa albo herbata... ale popatrz na tych malców dookoła. Im na pewno przydałoby się trochę mleka.

Missie zdała sobie sprawę, że teraz ona również powinna pić więcej mleka. Nie wspomniała jednak o tym.

Willie rozejrzał się po obozowisku.

– Masz rację – odpowiedział – jest tu sporo dzieci. Widziałas się jeszcze raz z panią Collins?

– Nie. Pewnie większość drogi spędziła w wozie z dziećmi. Komu chciałoby się iść w skwarze z dwójką takich malców na rękach? Pomyślałam, że po kolacji mogłabym wpaść do nich i zobaczyć, czy nie trzeba im pomóc, na przykład przy zmywaniu.

Willie lekko zmarszczył brwi.

– Wiesz, nie mam nic przeciwko twojej sąsiedzkiej życzliwości, ale czy nie za dużo na siebie bierzesz? Myślę, że sama masz dość obowiązków i jesteś zmęczona.

– Jeśli chodzi o sąsiedzką życzliwość – wtrącił się Henry, odkładając swój pusty talerz – to ja też chyba pójdę w odwiedziny – po czym wstał z nagłym entuzjazmem i kryjąc uśmiech, odszedł.

– Ależ skąd, czuję się dobrze – zapewniała Williego – poza tym jeszcze kilka dni podróży i się przyzwyczaję.

– Mam nadzieję... – powiedział, ale troska w jego oczach nie zniknęła.

– Wciąż nie zapoznałam się z panią Clay – stwierdziła Missie – choć przez cały dzień jej wypatrywałam.

– Myślę, że nie wychodzi z wozu. Widziałem Johna, bo rzeczywiście tak ma na imię jej mąż, kiedy poilem konie. Mówi, że żona źle znosi mocne słońce.

– Co sądzisz o tym, żebyśmy zobaczyli, jak sobie radzą, kiedy skończymy sprzątać?

– Pewnie. Myślę, że nie będzie to zbyt dużym narzucaniem się.  
– Willie sięgnął po Biblię i usiadł obok Missie, po czym znowu przytoczył słowa z Księgi Izajasza:

– „Nie bój się, bo ja jestem z tobą” – przeczytał i zatrzymał się na chwilę, wpatrując się w otwartą stronę. – Missie, co to dla ciebie oznacza?

Missie popatrzyła w dal, gdzie zachodzące słońce wciąż jeszcze odbijało swe światło na horyzoncie. Myślała o tych słowach z Biblii, z jednej strony tak znanych, ale mających dla nich teraz, kiedy byli z dala od domu i rodziny, jakby nowe znaczenie.

– Myślę... – powiedziała wolno i rozważnie – że Bóg jest z nami właśnie tutaj, przy ognisku. Och, Willie, tak bardzo Go potrzebujemy! Nie tylko ze względu na nasze fizyczne potrzeby w tej podróży, ale przede wszystkim te wewnętrzne... Potrzebujemy Go, by nas wzmacniał, dodawał siły... Gdybym nie znała Pana Boga, byłabym naprawdę zagubiona. To, że opuściłam mamę, tatę i rodzinę jest dla mnie wystarczająco trudne. Ale gdybym miała zostawić też Boga... nie potrafiłabym zrobić ani kroku. Jestem taka szczęśliwa, że On idzie razem z nami. Tak bardzo się z tego cieszę.

Willie objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

– Wyraziłaś to, co i ja czuję – wyznał cicho i ze wzruszeniem. Kiedy opanował już emocje, wypowiedział modlitwę, w której

wyraził Bogu wdzięczność. Poprosił też o opiekę i ochronę nad panią Clay oraz nad jej dzieckiem, które miało się wkrótce narodzić.



## Rozdział 5

# Rebecca Clay

Missie sprzątała po posiłku, podczas gdy Willie udał się do strumyka po wodę. Później, trzymając się za ręce, wybrali się z wizytą do Clayów. Nie spieszili się i co jakiś czas zatrzymywali się na luźniej pogawędce z innymi podróżnymi. Missie przedstawiała swojego męża kobietom i dzieciom, z którymi zdążyła się po-bieżnie zaprzyjaźnić, a on zapoznawał ją z nowo zaznajomionymi mężczyznami.

Kiedy mijali wóz Collinsów, Missie zajrzała do środka, by zapytać, czy nie potrzebują pomocy przy praniu. Pani Collins zapewniła, że na razie dają sobie radę. Missie przyjęła to z ulgą, lecz miała nadzieję, że nikt nie zauważył jej reakcji. Chętnie pomogłaby tej młodej kobiecie, jeśli zaszłaby taka potrzeba, ale jej ciało wciąż było obolałe i osłabione po dwóch dniach podróży. Może jutro poczuje się już lepiej i dojdzie do siebie.

Kiedy znaleźli się przy wozie Clayów, Willie przywitał się z Johnem i dumnie przedstawił mu swoją żonę. John z kolei zawołał Rebeccę, która znajdowała się w środku. Missie nie była

pewna, czego się spodziewać i zapewne nie była przygotowana na pierwsze wrażenie, jakie zrobiła na niej dziewczyna, która odsłoniła plandekę wozu. Wyciągnęła rękę do męża, by pomógł jej bezpiecznie zejść. Na twarzy wyglądała bardzo młodo, ale widać było na niej też zmęczenie. Na widok Missie się uśmiechnęła i jej oblicze się rozjaśniło. Długie, kasztanowe włosy związane z tyłu ciemnozieloną wstążką podkreślały jej bladą twarz. Równie zielone miała też oczy. Była atrakcyjną dziewczyną, ale było w niej coś jeszcze – coś, co sprawiało, że Missie natychmiast poczuła, iż ma ochotę poznać ją bliżej i zaprzyjaźnić się z nią.

Kiedy tylko Rebecca zeszła z wozu, wyciągnęła rękę do Missie.

– Rebecca Clay – przedstawiła się miłym, lecz zdecydowanym głosem. – Cieszę się, że mogę cię poznać.

– Melissa LaHaye – odpowiedziała Missie. Nie wiedziała, dlaczego przedstawiła się pełnym imieniem, ale w pewien sposób czuła, że Rebecca powinna je znać. – Znajomi mówią do mnie Missie – dodała pośpiesznie.

– A mnie nazywają Becky.

– Pasuje do ciebie to imię – powiedziała Missie z serdecznym uśmiechem, po czym zwróciła się w stronę Williego. – A to mój mąż Willie. Zdążył się już zaznajomić z twoim mężem.

– Wiem, John mi mówił. Nie mogłam się doczekać, kiedy was poznam, ale przez te dwa dni dość kiepsko się czułam. Mam nadzieję, że niedługo będę mogła więcej się ruszać. Jestem pewna, że wasze towarzystwo jest o wiele ciekawsze niż jedynie moje własne. Proszę, usiądźcie – wskazała ręką – nie mamy krzeseł do

zaoferowania, ale te kamienie, które przyturlał John, są całkiem wygodne.

Missie roześmiała się razem z Rebeccą, kiedy we trójkę siedali na kamieniach. John tymczasem dołożył do ogniska.

– Mam nadzieję, że ogień przegoni te nieznośne komary – powiedział, odwracając się przez ramię, kiedy szedł po drwa.

– Dokąd konkretnie się wybieracie? – Willie zadał podstawowe pytanie, jakie stawiali sobie nawzajem wszyscy udający się na Zachód. Missie miała nadzieję, że w odpowiedzi usłyszy dobrą nowinę, iż być może w przyszłości będą mieszkać po sąsiedzku.

– Z tą karawaną jedziemy do skrzyżowania w Tettsford, gdzie po kilku dniach odpoczynku dołączymy do grupy udającej się w kierunku północno-zachodnim – odpowiedział John. – Mój brat wyjechał tam w ubiegłym roku i przysłał mi wiadomość, że nigdy nie widział tak pięknej ziemi. Nie może się doczekać, kiedy nam ją pokaże. Mówi, że nie trzeba jej nawet karczować, można od razu przyłożyć do niej pług.

Missie nie dowierzała, choć wcześniej wielokrotnie słyszała już podobne relacje od innych osób. Mimowolnie poczuła się rozczarowana, kiedy zdała sobie sprawę, że Clayowie jednak nie będą ich sąsiadami.

– A wy? – zapytał John.

– My z Tettsford udajemy się na południe. Kupiłem już rancho na południowych wzgórzach.

– Podoba ci się ta kraina?

– Jest piękna jak marzenie – oczy Williego zrobiły się błyszczące, kiedy podejmował swój ulubiony temat i miał słuchaczy,

którzy wcześniej nie słyszeli jego opowieści. – Wszystko jest zachwycające: góry, niebo, gęsta trawa... W tamtych stronach nie ma zbyt wielu drzew. W niewielkiej dolinie, w której planuję wybudować dom, rośnie ich zaledwie kilka. To nie to samo, co tam, skąd pochodzimy.

– Tam, gdzie my jedziemy, chyba w ogóle nie ma drzew – zauważył John.

– Nie potrafię sobie wyobrazić świata bez drzew – powiedziała Becky melancholijnym głosem i Missie wiedziała, że ich brak będzie ciężką próbą dla młodej kobiety.

Missie również kochała lasy i poczuła wewnątrz, że rozumie uczucia Becky, ale odsunęła tę myśl, pocieszając ją i siebie:

– Przyzwyczaimy się jakoś.

– Też tak myślę – uśmiechnęła się Rebecca. – Poza tym podejrzewam, że będę zbyt zajęta, by to w ogóle zauważyć.

Mężczyźni opuścili je na chwilę, by naprawić uprząż Johna. Jak twierdził, część paska na grzbiecie boleśnie ocierała jego czarnego ogiera i John próbował znaleźć sposób na rozwiązanie tego problemu. Kiedy mężczyźni o tym dyskutowali, Missie z Becky mogły zająć się rozmową na inne tematy.

– Pochodzisz z dużej rodziny? – zapytała Missie, myśląc o swoich rodzicach.

– Mam tylko ojca – odpowiedziała Becky. – Moja mama zmarła, kiedy miałam piętnaście lat.

– Teraz wcale nie wyglądasz na dużo więcej... – powiedziała Missie z uśmiechem, co rozbawiło Becky.

– Każdy myśli, że jestem jeszcze dzieckiem. Być może tak wyglądam. Założę się, że jestem w twoim wieku, w październiku skończę dziewiętnaście lat.

Missie była zaskoczona.

– To rzeczywiście jesteś prawie w moim wieku. A kiedy ma się urodzić twoje dziecko?

– Za około dwa miesiące. Mam nadzieję, że jak wszystko dobrze pójdzie, to będziemy już wtedy w Tettford. Mają tam lekarza.

– Naprawdę? – zapytała Missie. – Nie wiedziałam, że to takie duże miasto.

– Tettford to bardzo ważne miejsce. Prawie wszystkie karawany tam docierają, a potem przegrupowują się i rozjeżdżają w różnych kierunkach.

– Wiesz, żałuję, że nie jedziecie w tym samym kierunku co my – powiedziała Missie otwarcie.

Becky popatrzyła na nią równie szczerze:

– Ja czuję to samo. Miałabym o wiele mniej obaw, gdybym wiedziała, że będziesz moją sąsiadką... nawet gdybyś mieszkała w odległości dnia drogi.

Obie młode kobiety zamilkły na moment. Missie bawiła się rąbkami szala, podczas gdy Becky bezwiednie rozgrzebywała ognisko patykami.

– Missie... – odezwała się cicho Becky – czy zdarza ci się czegoś bać?

Missie nie podnosiła wzroku.

– Masz na myśli wyprawę na Zachód?

– Tak.



– Nie sądziłam, że się boję... – Missie zawahała się przez moment. – Willie od początku był tak podekscytowany, że naprawdę chciałam pojechać razem z nim. I nadal chcę... Ale nie wiedziałam, że będzie tak trudno... że rozstanie z mamą i tatą będzie takie bolesne. Nie przypuszczałam, że będę odczuwała tak wielką pustkę – Missie rozmyślała nad swoimi słowami, po czym w końcu podniosła głowę i szczerze wyznała: – Tak... Właściwie to zacznę się trochę bać.

– Dziękuję ci, że mi o tym powiedziałaś. Cieszę się, że nie jestem w tym osamotniona, ponieważ czuję się jak dziecko w całej tej sytuacji. Nigdy o tym nikomu nie mówiłam, nawet Johnowi. Pragnę, by jego wielkie marzenie mogło się spełnić, ale czasami... czasami boję się, że sobie z tym wszystkim nie poradzę, że moja tęsknota za domem będzie przeszkodą w tym, by czuć się prawdziwie szczęśliwy.

Missie czuła, że jej oczy rozszerzają się z zaskoczenia.

– Tęsknisz za domem?

– O tak.

– Mimo że nie masz mamy?

– Może nawet tym bardziej. Mój tata bardzo kochał mamę i było mu naprawdę ciężko, kiedy ją stracił. Byłam dla niego wszystkim, a kiedy w moim życiu pojawił się John, zakochałam się tak bardzo, że nie mogłam myśleć o nikim innym – tu zatrzymała się, by wziąć głęboki oddech. – No i teraz... zostawiłam tatę zupełnie samego – dokończyła szybko.

Oczy Becky wypełniły się łzami. Wytarła je i kontynuowała:

– Gdyby mama żyła, nie martwiłabym się tak o niego. Tęsknię za nim... bardzo tęsknię. Jest dobrym człowiekiem...

silnym, postawnym, muskularnym, ale wewnątrz jest taki wrażliwy, więc... – złapała kolejny głęboki oddech. – Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Oczy Missie również zrobiły się wilgotne ze wzruszenia. Skinęła głową.

– Oczywiście, że rozumiem. Mój tato jest tak samo wrażliwy i wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby teraz płakał w ukryciu tak samo często, jak ja za nim. Ale on ma przynajmniej żonę i inne dzieci, które wciąż jeszcze są w domu.

– A więc ty też tęsknisz... – bardziej stwierdziła niż spytała Becky.

W odpowiedzi Missie skinęła tylko głową.

– Ale będzie coraz lepiej, przyzwyczaimy się – dokończyła Becky.

– Mam taką nadzieję – powiedziała Missie z przejęciem. – Liczę na Boga, że mi w tym pomoże.

– Znasz... to znaczy, rozmawiasz o tym z Bogiem?

– O tak, bez Niego...

– Jak się cieszę! – wykrzyknęła Becky. – Wiesz, to Bóg dodaje mi codziennie odwagi. Nie jestem zbyt dzielna... nawet z Nim. Ale *bez Niego* byłabym prawdziwym tchórzem!

Missie wytarła łzy i obie roześmiały się ze stwierdzenia Becky.

– Jestem taka szczęśliwa, że mam Williego – wyznała Missie.  
– On ma odwagi za nas dwoje.

– Tak jak mój John. Jeśli chodzi o naszą przyszłość, to on jest wielkim optymistą. Mam nadzieję, że go nie zawiodę.

Missie chwyciła ją za dłoń i uścisnęła.

– Na pewno go nie zawiedziesz – powiedziała zachęcająco. – Dajesz mu więcej, niż ci się wydaje, inaczej nie byłoby cię tutaj.

– Mam taką nadzieję, Missie.

– Obawiasz się o dziecko?

– Troszkę. Ale staram się nie myśleć o tym w ten sposób. Jestem trochę zmęczona. Niedobrze mi czasami od słońca i od tego kołysania wozem. Byłabym szczęśliwa, gdybym miała dość siły, by iść pieszo i móc się więcej ruszać.

– Musisz uważać, by na początku nie maszerować zbyt długo.

– John jest zdania, że chodzenie dobrze by mi zrobiło. Mówi, że potrzeba mi świeżego powietrza i trochę ruchu. Jego mama miała dziewięcioro dzieci i nigdy nie odpuściła sobie pracy będąc w ciąży.

*Cóż, to dotyczyło jego mamy* – chciała powiedzieć Missie, ale ugryzła się w język. W zamian stwierdziła:

– Jedzie z nami położna, która ma doświadczenie w przyjmowaniu porodów. Może powie ci, czy powinnaś się bardziej zmuszać do chodzenia.

– John mi o niej mówił, ale jeszcze jej nie poznałam.

– Polubisz ją, jestem tego pewna. To miła kobieta, którą zapewne każda z nas chciałaby mieć przy porodzie. Przyprowadzę ją kiedyś do ciebie, jeśli chcesz.

– Mogłabyś? Nie czułam się dotąd na tyle dobrze, by jej sama poszukać, a mam naprawdę sporo pytań. Gdyby tylko moja mama... – Becky nie dokończyła i zamrugowała szybko powiekami.

– Przeprowadzę ją jutro, jeśli uda mi się ją spotkać – zapewniła łagodnie Missie, po czym dodała: – Kiedy z Williem wyjeżdżaliśmy, tata dał nam szczególny werset. Powtarzam go sobie często. Traktujemy go jako nasz własny, ale oczywiście nie jest on zastrzeżony! Wszystkie Boże obietnice są przeznaczone dla wszystkich Bożych dzieci. Chciałabym się nim z tobą podzielić. Ufam, że będzie on miał równie duże znaczenie dla was, jak ma dla mnie i Williego. Pochodzi z Księgi Izajasza. – Missie nabrała powietrza i wyrecytowała z pamięci: „Nie lękaj się, bo Ja jestem z tobą; nie trwóż się, bom Ja twoim Bogiem. Umacniam cię, jeszcze i wspomagam, podtrzymuję cię moją prawicą sprawiedliwą”. Ten jeden werset zawiera mnóstwo obietnic. Wierzę, że Bóg mówi serio. On może i chce być z nami, zarówno w życiu jak i w śmierci. Wiem, że jest z nami we *wszystkim*.

– Dziękuję ci Missie, bardzo potrzebowałam tej prawdy. Kiedy wpadniesz do mnie jutro, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? Teraz jest już za ciemno, ale chciałabym, żebyś pokazała mi, gdzie ten werset jest zapisany, żebyśmy mogła go sobie sama przeczytać.

– Jasne, bardzo chętnie.

Mężczyźni poszli do koni. Potem Willie wtarł maść w bolesne miejsce na ciele ogiera. Ciszę, jaka nastąpiła po słowach Missie, przerywał jedynie trzask ognia. Missie żałowała, że nie może podzielić się z Becky swoją własną dobrą nowiną. Ale najpierw musi powiedzieć Williemu – i to jak najszybciej. Czuła się nie w porządku, trzymając to przed nim tak długo w tajemnicy. Obawiała się jednak, że mogłaby go zmartwić. Gdyby tylko

potrafiła pokonać zmęczenie i trochę się pozbierać... Jakże była wdzięczna, że nie męczyły jej poranne mdłości i wymioty.

Becky przerwała jej myśli:

– Obawiam się, że muszę ci się do czegoś przyznać. Wiesz, skłamałam mówiąc, że boję się troszeczkę. Ja się *bardzo* boję. Boję się o dziecko i o to, że przy porodzie może nie być lekarza. Obawiam się też o swoje samopoczucie. Nie mam wiedzy na temat małych dzieci, Missie. Nic nie wiem na temat porodu czy opieki nad niemowlęciem. Myśl o tym, że dziecko urodzi się w czasie tej podróży na Zachód śmiertelnie mnie przeraża, ale John mówi... – pokręciła głową i zawiesiła głos.

– I z pewnością ma rację – zareagowała błyskawicznie Missie. – Dziecko zapewne urodzi się w Tettsford, w pięknej sypialni, w obecności lekarza, który da ci wszelkie niezbędne instrukcje. Lecz jeśli... nawet gdyby maleństwo troszkę się pospieszyło, mamy przecież panią Kosensky. To wspomniała kobieta, jakiej nie znajdziesz nigdzie na świecie. Sama się przekonasz, kiedy ją poznasz. Na pewno uspokoiki twoje obawy. Przeprowadzę ją, jak tylko nadarzy się okazja.

Becky zdobyła się na uśmiech.

– Dziękuję, Missie. Pewnie myślisz sobie, że jestem straszną beksą, bo martwię się o tak naturalną rzecz jak urodzenie dziecka. Chciałabym poznać panią Ko... Ko... jak ona się nazywa? Może poradzi coś na moje mdłości i będę miała trochę więcej siły, by częściej się ruszać. Kiedy wóz podskakuje na wybojach, czuję, jakby wszystkie kości w moim ciele zamieniały się pod wpływem wstrząsów w gęstą masę – uśmiechnęła się i wstała.

– Zaraz wrócą nasi mężowie. Myślisz, że będą mieli ochotę na kawę?



W sobotę wieczorem po kolacji przewodnik karawany zwołał wszystkich uczestników podróży na zebranie.

– Życie podczas wędrówki może być trochę nudne – zaczął wprost – więc jeśli ktoś z was umie grać na czymkolwiek, co wydaje jakiś dźwięk, będziemy wdzięczni, jeśli się ujawni i przyniesie swój instrument.

Henry przyniósł więc gitarę, a pan Weiss mocno zużyte skrzypce. Zaplanowano wspólny śpiew przy ognisku. Ludzie dołączali się chętnie, nucąc melodie, jeśli nie znali słów. Dzieci wesoło podskakiwały i kołysały się w rytm muzyki, tańcząc w swoim stylu.

To, co pan Weiss był w stanie dokonać na swoich skrzypkach, było bardzo cenne, ale okazało się, że Henry wcale nie był gorszy. Miał przyjemny głos i prowadził grupę we wspólnym śpiewie. Wykonywano piosenki obozowe oraz ulubione hymny. Missie zachwycała się każdą spędzoną wspólnie minutą. Muzyka i śpiew zawsze przywodziły na pamięć wspomnienia z ich kościoła, kiedy wspólnie uwielbiali Boga. Uznała, że wilczy apetyt Henry'ego wart był zaspokajania. Postanowiła być w tym względzie hojna i zawsze proponować mu dokładki.

Pan Blake zbyt wcześnie, jak dla Missie, wstał i pomachał ręką, by skupić uwagę ludzi.

– Dziękujemy bardzo. Dziękujemy muzykom za kawał dobrej roboty. Ale robi się już późno i czas kończyć. Poza tym zauważyłem, że komary już bardzo zgłodniały, więc lepiej się schowajmy – odgonił kilka przed swojej twarzy, po czym dodał: – Jutro jest niedziela, dlatego mamy całodniowy postój w obozie. Jeśli o mnie chodzi, nie jestem osobą religijną, ale uważam, że dzień odpoczynku to rozsądny pomysł, zarówno dla zwierząt, jak i dla nas wszystkich. Jeśli są wśród was wierzący, którzy chcą zorganizować sobie nabożeństwo, to pozostawiam to w ich gestii. Nie jestem dobry w takich sprawach. Ja planuję spędzić niedzielę nad rzeką. Może uda mi się coś złowić. – Rozejrzał się po grupie i zapytał: – A więc czy ktoś z was chciałby mieć jutro nabożeństwo?

Podniosło się dość sporo rąk.

– Dobrze, dobrze... w porządku – powiedział pan Blake. – Panie Klein, czy mógłby pan zająć się tą sprawą?

Henry popatrzył na niego zaskoczony, ale pokiwał głową. Na tym spotkanie się zakończyło.

Henry poświęcił jeszcze trochę czasu na zebranie pomocników do zorganizowania porannego nabożeństwa. Kilka osób nie wyraziło chęci udziału, lecz większość pragnęła uczcić dzień Pański.

Willie został wyznaczony do odczytania Pisma Świętego, a Henry wziął na siebie odpowiedzialność poprowadzenia śpiewu. Pan Weiss na swoich starych skrzypcach potrafił grać pieśni kościelne z jeszcze większym uczuciem niż żywe taneczne melodie czy regionalne piosenki. Wszystko zostało ustalone.



Nastał jasny i ciepły niedzielny poranek. Nabożeństwo było zaplanowane na dziewiątą, tak by mogło się skończyć jeszcze zanim słońce wszędzie wysoko i zrobi się upał. Ludzie zgromadzili się w zagajniku nad rzeczką i usiedli na kłodach, które w tym właśnie celu Willie ściał razem z Henrym.

Rozpoczęli od śpiewu, który z całego serca poprowadził swoim wyraźnym barytonem Henry. Kathy Weiss nauczyła wszystkich nowej pieśni – prostej i krótkiej, ale łatwo wpadającej w ucho. Ludzie, o ile nie byli zajęci przeganianiem komarów, klaskali w ręce. Po ostatniej zwrotce „Cudownej Bożej łaski” Henry zakończył śpiew i poprosił pana Weissa o poprowadzenie modlitwy. Ten uczynił to z taką gorliwością, że Missie znów przypomniała sobie dom rodzinny.

Każdy, kto tylko chciał, mógł opowiedzieć o Bożym prowadzeniu w czasie podróży. Kilka osób wstawało kolejno, by wyrażać Bogu wdzięczność za Jego kierownictwo, siłę, odwagę, zwycięstwo nad strachem oraz za szczególną ochronę w czasie drogi. Missie i Becky wymieniły spojrzenia i znaczące uśmiechy.

Na koniec Willie przeczytał fragment ze Słowa Bożego mówiący o nakarmieniu przez Jezusa tłumów przy użyciu skromnego śniadania małego chłopca. Missie była pewna, że ludzie uchwycili znaczenie tych słów dla nich na teraz i zostali zachęcani do zaufania Bogu w kwestii Jego zaopatrzenia i ochrony podczas podróży. Ludzie słuchali bardzo uważnie, kiedy Willie przekonującym głosem prezentował wersety z Biblii na temat



Bożych obietnic. Kiedy zamknął Pismo Święte, ludzie kiwali głowami i z wiarą powtarzali „amen”.

Mimo że miejsce nabożeństwa pośród dzikiej przyrody nie przypominało w niczym kościoła, to czas uwielbienia był tak samo znaczący, jak gdyby odbywał się pod dachem świątyni z wieżą i bijącym dzwonem. Kiedy ludzie rozchodzili się do swoich wozów, podawali Henry’emu rękę i dziękowali za jego posługę. Niektórzy sugerowali wspólne śpiewanie hymnów wieczorem, kiedy zasiądą przy ognisku, co później rzeczywiście zostało zorganizowane.

Nabożeństwo niedzielne i wieczorne hymny przy ognisku stały się bardziej znaczące dla członków karawany niż sobotnie wieczorne zgromadzenie. W miarę jak mijały dni i tygodnie, ludzie, którzy na początku nie byli zainteresowani zgromadzeniami niedzielnymi, z czasem obmywali twarze, wdziewali czyste ubrania i otrzepywali buty z kurzu, by wziąć udział w spotkaniu. Missie i Willie z radością obserwowali, jak rośnie zainteresowanie wspólną modlitwą. Ludzie przychodzili stęsknieni wyciszenia, uwielbienia i dzielenia się Słowem Bożym.

Pan Blake natomiast wybierał inny sposób na spędzenie niedzieli – łowienie, polowanie, czy po prostu leżenie w cieniu. Lecz pewnego niedzielnego poranka Missie zauważyła, że postanowił jednak zostać w obozie. Wyglądał, jakby ukradkiem przysłuchiwał się nabożeństwu.



## Rozdział 6

# *Monotonia podróży*

**D**zień nie różnił się od dnia, upływając w rytmie nużącej przewidywalności. Nawet pogoda była monotonna. Słońce grzało mocno i tylko od czasu do czasu przechodził lekki deszczyk przynoszący chwilową ulgę.

Stopniowo jednak podróżujący przyzwyczajali się do tej jednostajności. Ich ciała wciąż były obolałe pod koniec dnia, ale ludzie nie odczuwali tego już tak intensywnie jak na początku. Pęcherze na nogach zmieniły się w twarde odciski. Od czasu do czasu okulał jakiś koń, więc woźnice z uwagą i troską wypatrywali wszelkich oznak zranienia u swoich zwierząt.

Pewna rodzina o nazwisku Wilbur musiała zjechać na bok i wycofać się z karawany z powodu konia, który nie mógł kontynuować jazdy. Pan Blake zboczył z całą karawaną o dwie mile, by zostawić ową rodzinę przy małej placówce wojskowej. Sprawujący służbę sierżant obiecał wysłać kilku swoich żołnierzy, by przywieźli opuszczony wóz pana Wilbura i poprowadzili resztę koni do bezpiecznego fortu. Najwcześniej, jak to możliwe,

Wilburowie mieli zostać przewiezieni do najbliższego miasta. Missie chciało się płakać, gdy patrzyła na ich głębokie rozczarowanie. Ale nie było innego wyjścia – karawana ruszała dalej bez nich.

Kilka pomniejszych nieszczęśliwych zdarzeń w czasie podróży było dla wszystkich ostrzeżeniem, że muszą być bardzo ostrożni. Jedno z dzieci Page'ów oparzyło się w czasie zabawy zbyt blisko ogniska. Pan Weiss, kowal, został potraktowany kopytem przez konia, którego próbował podkuć, ale na szczęście obyło się bez poważniejszych obrażeń. Pani Crane skręciła kostkę, próbując wejść na strome zbocze w swoich modnych butach, co uwięziło ją w rodzinnym wozie na dłużej, niż się spodziewała. Kilkoro mniejszych dzieci zostało zainfekowanych przez ukąszenie komara, poza tym sporadycznie któreś z nich się przeziębiało. Pomimo to większość osób dość dobrze przystosowała się do życia w podróży.

W miarę posuwania się na Zachód zmieniały się krajobrazy. Missie próbowała określić, co jest w nich obcego i co odróżnia je od rolniczych terenów, które opuściła. Drzewa były mniejsze i niepodobne do tych, jakie знаła. Również pagórki wyglądały inaczej ze względu na karłowatą roślinność, jaka je pokrywała. Niezależnie, jakie były to zmiany, Missie uświadamiała sobie coraz bardziej, że oddala się od rodzinnego domu oraz ludzi, których kocha. Znane już uczucie tęsknoty wciąż powracało, nie dając spokoju. Czasami musiała zagryzać wargę, by powstrzymać łzy przed wylaniem się na policzki. Starła się być dzielna i modliła się jeszcze gorliwiej. W czasie wędrówki i codziennych zajęć ciągle powtarzała sobie błogosławione słowa obietnicy

z Księgi Izajasza. Jej największym sprzymierzeńcem była praca, więc starała się zawsze mieć zajęte ręce.

Często odwiedzała Becky i tak jak obiecała, przedstawiła jej panią Kosensky. Mądra kobieta podważyła rady Johna, który twierdził, że Becky powinna więcej chodzić. Ostrzegła, by przyszła mama uważała i ograniczała się z aktywnościami. Teraz, kiedy Becky czuła się już lepiej, niechętnie przyjmowała te ograniczenia, lecz dostosowała się do instrukcji położnej.

Missie znajdowała wiele okazji, by pomagać pani Collins w opiece nad dwójką małych dzieci. Często brała córeczkę Collinsów i przychodziła z nią w odwiedziny do Becky, by ta mogła nabrać doświadczenia w opiece nad maluchem.

Chociaż ze wszystkich sił starała się koncentrować na przyszłości i na przygodzie, jaka ją czeka, wciąż przypominały jej się wydarzenia, jakie o danej porze dnia mogą mieć miejsce w rodzinnym domu. *Dzisiaj mama i tata będą robić pranie – wszystkie rzeczy będą lśnić bielą i suszyć się na słońcu. Albo: Dzisiaj tata wybiera się na cotygodniową wyprawę do miasta. Albo w niedzielę: Cała rodzina udaje się wozem do małego kościołka na nabożeństwo. Spotkają się z sąsiadami – ludźmi, których znałam przez całe życie – i z pastorem Joem.* Niemal słyszała go mówiącego kazanie oraz „amen” powtarzane przez ludzi, gdy wygłaszał prawdy ze Słowa Bożego. Mogła zamknąć oczy i wyobrazić sobie uśmiech swojej drogiej siostry Clae, kiedy z miłością i dumą patrzy na swojego męża stojącego za kazalnica.

Tak mijał każdy dzień. Słaba, choć stopniowo nabierająca sił Missie maszerowała z innymi pielgrzymami, lecz tęskniła za

domem, w którym niegdyś wspólnie z innymi wykonywała swoje codzienne obowiązki.

Zdziwiła się, kiedy uświadomiła sobie, że są już w podróży od prawie czterech tygodni. W pewnym sensie wydawało jej się to jak wieczność. A z drugiej strony tak szybko zleciało. Dlaczego po takim długim czasie wciąż jeszcze odzywa się w niej głęboka tęsknota za domem i poczucie osamotnienia? *Czas – myślała – uleczy rany i złagodzi ciężar nostalgii.* Lecz ile go jeszcze musiało upłynąć, by przyzwyczaiła się do rzeczywistości?

Kiedy z każdym kolejnym dniem ciało Missie przestawało dotkliwie odczuwać zmęczenie, coraz bardziej cierpiała jej dusza. Jakże bardzo brakowało jej ich wszystkich – rodziny i przyjaciół. Jak cudownie byłoby poczuć ciepło przytulenia mamy lub dłoni taty na swoim ramieniu. Chętnie zniosłaby żarty Clare'a i Arnie'ego; cieszyłaby się widząc, jak rośnie i rozwija się mała Ellie. A uroczy Luke – jakże bardzo chciałyby go uścisnąć. Czy rozpozna braciszka, kiedy znowu go zobaczy? I czy to w ogóle kiedykolwiek nastąpi? *Drogi Boże – modliła się wciąż niezmiennie – proszę, pomóż mi to wszystko znieść.*

Missie z całej siły starała się ukryć swoją tęsknotę przed Williem. Lecz postępując tak, nie zdawała sobie sprawy, że chowa przed nim część samej siebie. Często czuła na sobie jego wzrok, który badał wyraz jej twarzy. Willie przejmował się jej zmęczeniem i wciąż sprawdzał, jak się czuje, czy się nie przepracowuje i czy odżywia się właściwie.

Prawda była taka, że Missie wcale nie czuła się dobrze. Oprócz głębokiej tęsknoty dokuczały jej nudności i ogólne uczucie zmęczenia. Ale ukrywała to przed Williem. *To nie jest*

*właściwa pora. Willie będzie się przejmował – tłumaczyła sobie. Jednak wyczuwała napięcie, jakie wytworzyło się między nimi – i nie podobało jej się to.*

Każdy dzień przebiegał według tego samego schematu, co poprzedni. LaHaye'owie wstawali bardzo wcześnie. Missie przygotowywała śniadanie dla mężczyzn, podczas gdy oni zajmowali się zwierzętami, poili je i szykowali wozy do kolejnego dnia podróży. Potem wszyscy troje jedli, pakowali się i wyruszali w drogę. W południe odbywała się krótka przerwa, w czasie której Missie przyrządzała jakąś szybką strawę.

Kiedy wieczorem zatrzymywali się na postój, trzeba było rozpalić ognisko, ugotować kolację i posprzątać po posiłku. Ze względu na małą ilość świeżego jedzenia, Missie musiała często sięgać po produkty suszone i konserwy. Szybko znudziło ją ograniczone menu. Zastanawiała się, czy Williemu i Henry'emu ono również nie smakuje – tak jak jej. Ile by dała, by spokojnie zasiąść przy stole do jednego z wysmienitych dań przyrządzanych przez mamę z warzyw z własnego ogródka i świeżo pieczonego chleba... Pokręciła głową i uznała, że lepiej skupić myśli na czymś innym.



Odległość pokonywana przez Missie pieszo w ciągu dnia zależała od rodzaju drogi i intensywności upału. Becky Clay nie próbowała przemierzać zbyt długich dystansów pieszo. John powstrzymywał się od nalegania, by ruszała się więcej, gdyż

pani Kosensky powiedziała mu, że nie wszystkie kobiety są tak odporne na wszelkie trudy jak jego mama. Becky chętnie przebywała z innymi kobietami, lecz musiała uważać, by się zbytnio nie przeciążyć.

Podróżujący zaczęli poznawać się coraz lepiej. Niektórym służyło to bardzo dobrze. Pani Standard i pani Schmidt z każdym dniem czuły się swobodniej w swoim towarzystwie. Po dotarciu na miejsce miały nadzieję zostać bliskimi sąsiadkami.

Kathy Weiss i Tillie Crane również się zaprzyjaźniły. Kathy spędzała też wiele godzin z Anną, najstarszą z pięciu córek Standardów. Lecz Anna i Tillie nie miały ze sobą zbyt wiele wspólnego i nie wykazywały zainteresowania spędzaniem czasu razem. Za to pani Standard zdawała się lubić Kathy i traktowała ją na równi z przysposobioną niedawno ósemką dzieci. Missie miała wrażenie, że pani Standard przyjęłaby chętnie do swojego rodzinnego kręgu niemal każdego.

Henry był również mile widzianym gościem przy ognisku Standardów. Missie często się zastanawiała, czy to za przyczyną którejś z młodych dziewcząt, czy może z powodu matczynego serca pani Standard. Henry, którego matka zmarła, kiedy był małym chłopcem, bez wątplenia pragnął troski i opieki, jakich brakowało mu w dzieciństwie.

Na równi z przyjaźnią wśród podróżnych zdarzały się i konflikty. Pani Thorne wciąż maszerowała z zadartą głową, nie szukając z nikim serdecznego kontaktu. Nie zapraszała nikogo do rozmowy ani słowem, ani gestem. Wokół ogniska Thorneów nie zdarzały się pogawędki przy wspólnej kawie.

Większość podróżnych starała się unikać gadulstwa pani Page. Jednak ona miała zwyczaj pojawiać się nagle i znikąd, a wtedy praktycznie niemożliwym było wymknięcie się w kultu-ralnym stylu. Wydawało się, że pani Page przytuliłaby się nawet do kaktusa, gdyby ten umiał słuchać.

Missie nie wiedziała, od czego się to zaczęło, ale z jakichś względów pomiędzy panią Page i panią Tuttle zrodziła się prawdziwa wrogość. Pani Tuttle była wdową podróżującą ze swoim bratem. W przeciwieństwie do pani Page była małomówna, ale jeśli już się odezwała, to zazwyczaj w kąśliwym lub raniącym tonie. Dlatego jej również unikano, lecz z odmiennych przyczyn niż uciążliwej i głośniejszej pani Page.

Kobieta nie umiała powstrzymać się od komentarzy na każdy podjęty temat. Jej uwagi dotyczyły też przyczyn, dla których pani Tuttle wybierała się na Zachód. Według pani Page na panią Tuttle na końcu wędrówki czekał traper, który złożył jej propozycję małżeństwa drogą korespondencyjną. Pani Page oświadczyła, że gdyby ów traper spojrzeł na kamienną i srogą twarz pani Tuttle, pewnie wolałby pozostać jednak w stanie wolnym. I tak rozpoczęła się wojna.

Większość pojedynków słownych owych dwu kobiet prowadzona była przez pośredników:

– Idź i powiedz Jessie Tuttle, że jeśli nie pozbędzie się tego lodowatego spojrzenia, straci swojego trapera od razu, jak tylko się spotkają.

– A ty powiedz pani Page (Jessie Tuttle nie zdobyła się na to, by użyć imienia pani Page – Alice), że jej by się przydało,



żeby miała całą twarz skutą lodem, bo przynajmniej nie mogłaby otworzyć tej niewyparzonej gęby.

Oczywiście wysłannicy nigdy nie dostarczali tych wiadomości. Nie musieli tego robić, ponieważ obelgi zwykle wypowiedane były na tyle głośno, żeby druga strona je słyszała. Tocząca się walka słowna nie była dla towarzyszy podróży źródłem niepokoju, lecz raczej rozrywki. Na co dzień mało było powodów do śmiechu, więc nawet sąsiedzkie sprzeczki stanowiły swego rodzaju atrakcję.

Sporadyczne spotkania wszystkich dorosłych członków karawany były okazją dla przewodnika do złożenia raportu z przebiegu podróży, wydania nowych poleceń czy wyjaśnienia pewnych sytuacji, jakie się na bieżąco wydarzały. Spotkania owe były wyczekiwane i stanowiły przyjemny przerywnik w codziennej monotonii.

Tym razem pan Blake ogłosił, że jest zadowolony z postępu podróży, która przebiega zgodnie z planem. Jego jedynym zmartwieniem była ogromna rzeka, do której się zbliżali. Będą przeprowiać się przez nią za około cztery dni. Był przekonany, że nie będzie zbyt głęboka i łatwo ją przekroczą. Jedyną możliwą przeszkodą utrudniającą przejście mogłaby być ulewa, ale jak dotąd korzystali z dobrodziejstwa słonecznej, bezchmurnej aury. Kiedy przeprowią się przez Wielką Rzekę – tak nazywali ją tutejsi Indianie – droga, na której się znajdują, będzie już prowadziła prosto do celu podróży.

Wszyscy zdawali się cieszyć z wieści, jakie podał pan Blake, ale Missie nie podzielała ich entuzjazmu. W sercu skrywała

marzenie o tym, że rzeka okaże się niemożliwa do przejścia i Willie zdecyduje się zawrócić do domu.

Willie oczywiście wcale nie chciał nigdzie wracać. Po zachęcającym komunikacie razem z innymi podróżnymi wydał radosny okrzyk. Missie zauważyła, że oprócz niej kilka innych kobiet również ucichło, między innymi Becky, Sissie Collins i Tillie Crane.

Milcząco udała się w kierunku wozu, czego ogarnięty entuzjazmem Willie z początku nie zauważył.

– Pomyśl tylko! – zachwycił się. – Jeszcze tylko cztery dni i przekroczymy Wielką Rzekę, a potem... potem to już pójdzie z górki.

Missie przytaknęła i próbowała się uśmiechnąć, by nie robić mężowi przykrości.

– Nadal się martwisz o Becky? – zapytał, patrząc jej prosto w oczy. Prawdopodobnie miał nadzieję na jakieś rozsądne wyjaśnienie powściągliwości z jej strony.

– Chyba tak – odparła, czując, że jej odpowiedź brzmi bezpiecznie i w pewnym sensie jest przecież szczerą.

– Ale jest jeszcze coś, co cię niepokoi... prawda? Czuję to od jakiegoś czasu. Czy coś jest nie tak, Missie? Powiedz mi.

Pytanie Williego wyrażało tyle szczerzej troski, że Missie wiedziała, iż musi go uspokoić. Nie chciała zdradzić swojej tajemnicy w takich okolicznościach. Wyobraziła sobie intymną chwilę wieczorem przy ognisku czy bliskość, jaką daje im własne łóżko w okrytym płótnem wozie. Teraz szli nierówną, zakurzoną drogą, wśród ludzi. Niemożliwe było ściszenie głosu, by nikt nie słyszał. Jednak wiedziała, że musi to zrobić.

– Chciałabym ci o czymś powiedzieć... Wiesz, wciąż nie było sprzyjającej okazji – powiedziała cicho i wzięła głęboki oddech. – Willie, my też będziemy mieć dziecko.

Willie zatrzymał się i wyciągnął do niej rękę. Jego twarz była pełna powagi.

– Nie żartujesz sobie ze mnie?

– Nie, Willie.

– I jesteś tego pewna?

– Jak najbardziej.

Stał spokojnie przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, czy karawana jest odpowiednim miejscem dla małego dziecka.

Przez moment Missie miała nadzieję, że to da Williemu wystarczający powód, by zawrócić do domu, ale wkrótce odrzuciła tę egoistyczną myśl i zmusiła się do uśmiechu.

– Och, Willie, nie denerwuj się. Zanim dziecko się urodzi, będziemy już dawno na miejscu.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że tak. Jak długo sądzisz, że będziemy jeszcze w podróży?

Wyraz twarzy Williego nagle się zmienił, po czym młody mężczyzna wydał radosny okrzyk. Missie złapała go mocno za rękę, by powstrzymać go przed obwieszczeniem dobrej nowiny wszystkim towarzyszom podróży. Willie przestał wykrzykiwać i mocno ją przytulił. Poczula ulgę. Był naprawdę podekscytowany. Cieszył się i nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Nie wiedziała dlaczego, ale nagle zachciało jej się płakać. Poczula ogromną radość, kiedy w końcu odkryła przed Williem

swoją tajemnicę. Widziała jego entuzjazm i czuła uścisk jego mocnych ramion. Jakże źle robiła, że ukrywała to przed nim tak długo. Nagle obmyła ją potężna fala miłości do męża. Mogła teraz iść z nim nawet na koniec świata, gdyby tego od niej chciał.

Teraz śmiali się i płakali razem. Willie obejmował ją i całował po czole, po włosach, po policzkach. Inni podróżni przeszli już obok nich i zostawili ich samych.

– A więc to dlatego byłaś taka niewyraźna... – mruczał Willie z ustami przy jej włosach. – Musimy się teraz lepiej tobą zaopiekować. Będziesz więcej odpoczywała i lepiej się odżywiała. Postaram się częściej o świeże mięso. Nie powinnaś też tyle pracować, nie możesz się przemęczać. Missie, tak się bałem, że zmieniłaś zdanie, że nie chcesz jechać na Zachód... albo nawet że już mnie nie kochasz... albo że jesteś chora i... tak się bałem. Modliłem się cały czas, a tu nagle okazuje się, że... – Missie słyszała w jego głosie głębokie emocje.

Nie zdawała sobie wcześniej sprawy z tego, co mogła oznaczać dla Williego jej wielodniowa apatia i tęsknota za domem. Nie powinna już nigdy niczego przed nim ukrywać.

– Przepraszam cię, Willie – wyszeptwała. – Nie wiedziałam, że... że przychodziły ci do głowy najgorsze myśli. Przepraszam.

– To nie twoja wina. To wcale nie jest twoja wina. Po prostu mi ulżyło... Wciąż jest mi przykro, że nie czujesz się dobrze, ale zaopiekuję się tobą. Poza tym, ku twemu złemu samopoczuciu jest przynajmniej dobry powód.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwy...

Missie nie miała szansy skończyć zdania. Willie przerwał jej i przyciągnął jeszcze bliżej do siebie.

– Teraz już wszystko będzie dobrze, Missie. Wkrótce poczujesz się lepiej. Porozmawiamy z panią Kosensky. Zadbamy o to, żebyś dużo wypoczywała. A zanim się obejrzysz, znów nabierzesz sił.

– Willie... Willie, jest jeszcze jedna rzecz. To prawda, czułam się trochę przygnębiona. Myślę, że prawdziwym powodem jest to, że... wiesz, ja bardzo tęsknię za domem, za mamą i tatą... – nie była w stanie kontynuować. Po jej policzkach popłynęły łzy.

– Missie, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Przecież bym cię zrozumiał. Ja też bardzo tęsknię za ludźmi, których zostawiliśmy. Może nie potrafiłbym ulżyć twojemu smutkowi, ale dzieliłbym go z tobą. – Ujął w obie dłonie jej twarz i delikatnie pocałował. – Kocham cię, Missie.

Dlaczego była taka niemądra? Dlaczego trzymała ten ból w sobie, myśląc, że Willie jej nie zrozumie? Powinna mu była o tym powiedzieć już dawno temu i przyjąć pociechę w jego ramionach. Missie tuliła się do niego i płakała, dopóki nie wyczerpały jej się wszystkie łzy. Z pewnością łatwiej uleczyć smutek, kiedy się komuś zwierzy i kiedy oczyszcza się go poprzez wylanie łez. W końcu mogła spojrzeć na Williego i się uśmiechnąć.

Willie pocałował ją w nos i znowu ją uściskał.

– Hej – odezwał się nagle – musimy położyć naszą mamę do łóżka. Koniec z długimi wieczorami, kochanie. Ograniczymy też twoje codzienne maszerowanie i pracę.

– Och, Willie – zaprotestowała Missie – chodzenie jest dla mnie o wiele łatwiejsze niż jazda po wybojach w tym starym wozie.

– Tak sądzisz?

– Tak sędzę. No, nie jest to nowa bryczka na resorach.

Willie śmiał się, kiedy szli przez polanę w kierunku wozu.

– Musisz teraz uważać – powiedział z całą powagą i podniósł ją do góry. – Nie możesz się forsować.

– Och, Willie – roześmiała się Missie. Wiedziała, że w najbliższej przyszłości będzie traktowana jak małe dziecko. Może nie będzie to takie złe? O ile Willie zachowa umiar w chuchaniu i dmuchaniu na nią. Uśmiechnęła się do siebie i rozchyliła plan-dekę wozu.





## Rozdział 7

# Deszcz

Następnego poranka Willie wychodził z wozu w błogim nastroju. Missie patrzyła, jak wkłada przez głowę szarą, wełnianą koszulę i zapina każdy guzik, od pasa aż po szyję. Kiedy wpychał ją pospiesznie do grubych, drelichowych spodni, stanowiących jego podróżny ubiór, spojrział na żonę. Zobaczył, że Missie nie śpi, więc obdarzył ją pełnym zadowolenia uśmiechem, po czym szybko spowaźniał i przykazał, żeby została dłużej w łóżku. Przyszła mama potrzebuje przecież odpoczynku. Uśmiechnęła się zaspana i zaproponowała, żeby później zmienił koszulę na bawełnianą, bo może być upalnie, tak jak wczoraj. Skinął głową, po czym założył na ramiona szelki. Wychodząc, wskoczył w skórzane buty z cholewkami i odsunął plandekę. Najpierw udał się do koni, by przygotować je do drogi. Podążył dziarskim krokiem i gwizdał jeszcze radośniej niż zwykle. Missie wiedziała, że Willie cieszy się z wieści o dziecku. Była też przekonana, że cały czas z entuzjazmem myśli o przeprawie przez Wielką Rzekę, która czeka ich za cztery dni.



Dla Missie oznaczało to, że po owych czterech dniach nie będzie już odwrotu. Ze względu na męża starała się otrząsnąć z nostalgii i zdecydowała się rozpocząć poranne obowiązki z radością. Dzisiaj, jeśli nadarzy się okazja, powie Becky o dziecku. Odtąd będą miały jeszcze więcej wspólnych spraw i tematów do rozmów.

Tego dnia Willie często zatrzymywał wóz, by Missie miała okazję pójść kawałek pieszo. I równie często sprawdzał, czy żona nie czuje się zmęczona wędrówką. Starala się przyjmować jego troskliwe sugestie. Właściwie dałaby radę iść dłużej, gdyż z każdym dniem spaceru coraz mniej ją męczyły, ale nie chciała sprawiać przykrości Williemu, więc gdy to proponował, wsiadała z powrotem na wóz.

Po południu zrobiło się chłodniej i zaczął wiać silny wiatr. Na horyzoncie pojawiły się ciężkie, deszczowe chmury. Podróżnicy z niepokojem oczekiwali, czy przejdą obok. Dla wszystkich stało się wkrótce jasne, że nie zapowiadają one jedynie lekkiego deszczu. Wciąż jednak podsycali wzajemne nadzieje, że opady nie potrwać długo. Zwierzęta najwyraźniej wyczuwały nadchodzącą burzę, bo stały się nerwowe i płochliwe zanim jeszcze pojawiły się grzmoty z błyskawicami.

Na początku zaczęło siąpić. Kobiety i dzieci pochowały się pod przykryciem wozów, podczas gdy mężczyźni zakładali na siebie nieprzemakalne płócienne peleryny i kontynuowali jazdę mimo deszczu.

Zamiast zmniejszać swą intensywność, burza z kłębiącymi się ciemnymi chmurami i towarzyszącą jej ulewą stawała się coraz bardziej groźna i nieprzejednana. Wkrótce koniom trudno

było się poruszać, bo wielkie koła wozów grzęzły w coraz głębszym błocie. Niektórzy mieli dodatkowe konie lub woły, którymi mogli wesprzeć swoje zaprzęgi. Przewodnicy biegali tam i z powrotem, by pomóc podróżnym w rozwiązywaniu potencjalnych problemów. A pierwszy taki problem pojawił się bardzo szybko. Jeden z wozów jadących przodem ześlizgnął się i zjechał po stromym zboczu, zahaczając kołem o wielki kamień. Drewniane szprychy połamały się z przeraźliwym trzaskiem. Wóz przechylił się do przodu, ale na szczęście się nie przewrócił. Panu Calleyowi udało się jakoś powstrzymać spłoszone konie przed ucieczką.

Zaprzęgi podążające z tyłu musiały manewrować, omijając uszkodzony wóz. Osuwały się wolno i ślizgały po skalistej drodze prowadzącej w dół zbocza, aż w końcu znajdowały pewny grunt. Kiedy tylko ostatni wóz zjechał bezpiecznie po wyrytych na zboczu koleinach, pan Blake zarządził postój. Tego dnia planowane było pokonanie dłuższego dystansu, ale dalsza jazda w takich warunkach nie miała sensu. Musieli poczekać z przeprowadzeniem się przez Wielką Rzekę.

Przeziąknięte wozy ustawiły się jak zwykle w szyku okrężnym. Odczepiono z zaprzęgów konie, nad którymi unosiła się para. Kilku mężczyzn udało się w górę, by pomóc rodzinie Calleyów, która utknęła na zboczu. Wozu nie dało się ruszyć z miejsca, dopóki nie naprawiono koła. Mężczyźni pracowali w deszczu, próbując podnieść wóz, kładąc pod niego kamienie i kawałki drewna. Calleyowie musieli spędzić tę noc z dala od obozu.

Pod nieobecność Williiego i Henry'ego Missie owinęła się grubym szalem i wyszła na poszukiwanie drewna. Wiele kobiet z dziećmi również szukało opału, ale w deszczu niełatwo było cokolwiek znaleźć. Missie czuła, że jest przemoknięta. Grzęzła w błocie, wypatrując kawałków drewna, które udałoby się rozpalić. W pewnym momencie zrobiło się jakieś zamieszanie, po czym Missie usłyszała, jak ktoś wykrzykuje:

– Powiedz Jessie Tuttle, że jak ktoś idzie po patyk, który zauważył, to ów patyk już należy do tej osoby!

Missie uśmiechnęła się mimowolnie. Te dwie znów zaczynają kłótnię!

Jedynie przezorna pani Schmidt nie musiała teraz wyruszać na mało owocne poszukiwania, gdyż miała obfite zapasy suchego chrustu złożone w wozie pod siedzeniem. Missie zastanawiała się, dlaczego też nie była na tyle przewidująca, by pomyśleć o zrobieniu zapasów.

W końcu uzbierała trochę gałęzi z nadzieją, że wystarczy na rozpalenie ognia i przyrządzenie gorącego posiłku. Wracając do wozu, brnęła w błocie. Ogień palił się niechętnie, lecz udało jej się wzniecić płomień na tyle, by podgrzać posiłek. Chwilami wydawało się, że ognisko zgaśnie, lecz Missie nie dawała za wygraną. Kawa nie zagotowała się do końca. Udało się jednak podgrzać mięso na tyle, by przynajmniej było ciepłe, a prawie gorącą kawą zdołali ogrzać zziębnięte ciała.

Missie posprzątała z grubsza i oboje z Williem wślizgnęli się do swojego „mieszkania” na kołach. Zrzucili z siebie mokre ubrania i założyli ciepłą, suchą odzież. Było zbyt wcześnie, by kłaść się spać, nawet po tak ciężkim i wyczerpującym dniu.

Willie zapalił lampę i usiadł przy niej, chcąc uzupełnić swój dziennik. Missie wyjęła robótkę, ale wciąż miała zimne palce, w związku z czym praca nie szła jej zbyt dobrze. W końcu zrezygnowała i owinęła się kocem, by się trochę ogrzać. Willie podniósł głowę, spojrział na nią i spytał zatroskany:

– Zmarzłaś, prawda? Lepiej od razu połóż się do łóżka. Nie chciałbym, żebyś się przeziębiła. Ja pójde zobaczyć, czy nie znajdzie się jakiś ciepły kamień do ogrzania twoich stóp. – Opatulił Missie kocem jeszcze mocniej, aż pod brodę, i zaczął sięgać po płaszcz.

– Nie wychodź z powrotem na deszcz – błagała go Missie. – Wcale nie mam aż tak zimnych stóp. Zaraz się zagrzeją... włożę drugą parę wełnianych skarpet.

Zrobiła tak od razu, by zatrzymać męża. Było jednak jeszcze za wcześnie na sen. Wiedziała też, że najrozsądniej jest po prostu poleżeć pod kocem. Chłód zaczął stopniowo ustępować. Wkrótce poczuła senność.

Willie skończył swoje zapiski w dzienniku i sięgnął po oprawioną w skórę „Wędrowkę Pielgrzyma”, którą dostali w prezencie ślubnym od dzieci w szkole.

– Mógłbyś poczytać mi na głos? – zaproponowała Missie.

Willie zaczął czytać. Znana jej historia wywołała dobre samopoczucie przed snem, co sprawiło, że długi wieczór minął szybciej.

Deszcz nie przestawał padać, stukając w pokrycie wozu. Zanim Willie położył się do snu, sprawdził wszystko dokładnie dookoła i wewnątrz wozu, upewniając się, że w żadnym miejscu nic nie przecieka. Wkrótce usłyszała jego równy oddech

i wiedziała, że zasnął. Chciałaby też umieć tak szybko zasypiać, lecz niestety... Leżała i słuchała deszczu. Jej myśli znów zawędrowały do rodzinnego domu.

Zawsze uwielbiała odgłos deszczu stukającego o szyby, kiedy leżała skulona, okryta uszytą przez mamę, ciepłą kołdrą. Dawniej deszcz wydawał jej się przyjazny, lecz tego wieczoru nie był ich sprzymierzeńcem. Przeszedł ją dreszcz, więc przysunęła się jeszcze do Williego. Była wdzięczna, że ma go blisko siebie i może ogrzać się ciepłem jego ciała. Czuła się przy nim bezpieczna.



Kiedy się obudziła następnego poranka, wciąż padało. Wszędzie dookoła były wielkie kałuże, a krzewy i wozy ociekały strumieniami wody. Poranne powietrze nasiąknęło wilgocią. Willie przybył akurat w momencie, kiedy próbowała wyjść z wozu i zastanawiała się, jakim sposobem zdoła wzniecić ogień. Poprosił ją, by pozostała w łóżku i sam próbował rozpalić ognisko, by zagotować kawę i zrobić naleśniki. Ignorując jej protesty, zrobił śniadanie i przyniósł jej do łóżka.

– Nie ma sensu, żebyśmy oboje wychodzili na zewnątrz – tłumaczył. – Poza tym pan Blake jeszcze nie podjął decyzji, czy wyruszymy dalej, czy będziemy czekać.

Wszyscy doskonale wiedzieli o rozterkach pana Blake'a dotyczących przepławiania się przez rzekę, której wody po deszczu

na pewno się podniosły. Mimo błotnistej drogi zarządził, by wszyscy spakowali się i ruszali.

Kiedy Willie wsiadał na wóz i popędzał narowiące się konie, był już całkowicie przemoknięty. Kazał Missie usadowić się w wozie najwygodniej, jak się da, i pozostać pod osłoną płótna.

Jazda postępowała mozolnie. Wozy ślizgały się na mokrej ziemi. Koła grzęzły i trzeba je było co chwilę uwalniać spod ciężaru błota. Po kilku godzinach jazdy woźnice mieli dość, a konie były wycieńczone. Gdy w końcu jedno ze zwierząt się przewróciło, pan Blake zarządził postój. Podróżowanie dalej w takich warunkach nie miało sensu.

Kiedy wóz zatrzymał się ze zgrzytem, Missie nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy raczej niepokoić. Deszcz nieco zelżał. Owinięta ciepłym szalem udała się jak zwykle na poszukiwanie drewna. Gdy jednak po jakimś czasie nadszedł Willie, Missie wciąż jeszcze nie udało się rozpalić ogniska. Była bliska płaczu i czuła się kompletnie nieprzydatna. Drewno nie chciało się palić. Willie zajął się tym i namówił ją do przebrania się w suche rzeczy. W międzyczasie odważył się poprosić o odrobinę gorącej wody panią Schmidt, której ognisko płonęło żwawo. Pani Schmidt była zadowolona, że może podzielić się wrzątkiem – przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Missie zrobiła dla siebie, Williego i Henry'ego ciepłą herbatę. Popijając ją i jedząc bułeczki, które zostały z poprzedniego dnia, przynajmniej trochę się rozgrzali.

Deszcz nie przestawał padać. Missie wróciła do robótki ręcznej, podczas gdy Willie naprawiał jakąś część uprzęży. Kiedy skończył, wyjął dziennik, lecz wkrótce wyczerpał tematy do

opisywania. Sięgnął po książkę Johna Bunyana i próbował czytać, lecz w końcu zniecierpliwiony wyszedł z wozu na deszcz pod pretekstem sprawdzenia czegoś w zaprzęgu i konieczności zajrzenia do krów.

Gdy Williego nie było, czas dłużył się Missie jeszcze bardziej. Ostatecznie sama chciała wyjść, lecz usłyszała, że mąż nareszcie wraca. Zawołał na nią, więc wyrzała, odsuwając krawędź płótna. Willie wręczył jej zawiniątko, a w nim niemowlę od Collinsów.

– Ich wóz przemaka – wyjaśnił. – Nie mają suchego miejsca, w którym można położyć dzieci. Zaraz przyprowadzę tu jeszcze chłopca.

Missie szybko rozwinęła dziecko z kocyka. Zgodnie z zapowiedzią, Willie zjawił się wkrótce z powrotem wraz z małym Joeyem. Meggie marudziła, a Missie uspokajała ją, kołysząc w ramionach i próbując znaleźć dla niej najwygodniejszą pozycję. Willie zabawiał Joeya, pomagając mu wybudować mały domek z patyczków. Potem czytał mu z „Wędrówki Pielgrzyma” i mimo że chłopak niewiele rozumiał, słuchał bardzo uważnie. Missie w końcu udało się uśpić małą, więc dołączyła do Williego i Joeya. Chłopczyk był teraz zaangażowany w zabawę patyczkami i kamykami.

Później przyszła Sissie Collins, żeby sprawdzić, jak się mają jej dzieci. Musiała też nakarmić niemowlę. Willie zrobił obchód w obozie i sprawdził, czy ktoś jeszcze nie potrzebuje pomocy. Kiedy długi dzień nareszcie dobiegł końca, wypili resztę chłodnej herbaty i zjedli kolację na zimno.

Willie razem z Henrym przeniósł się do ich drugiego wozu, tak by Sissie ze swoją dwójką dzieci mogła pozostać w suchym miejscu.

Kiedy Missie kładła się spać, deszcz wciąż dudnił o brezentowe pokrycie wozu. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przestanie padać. Czy są w stanie przetrzymać jeszcze jeden dzień taki jak ten?

Okazało się, że nie było wyjścia. Czasami deszcz zamieniał się w lekką mżawkę, po czym znowu przeradzał się w straszliwą ulewę. Za każdym razem, kiedy łagodniał, Missie zakładała na siebie szal i wychodziła z wozu. Właściwie nie było miejsca, gdzie można było pospacerować i rozciągnąć skurczone mięśnie nóg. Ziemia w miejscu postoju wyglądała jak jezioro z kilkoma wystającymi z niego wysepkami. Na początku Missie próbowała poruszać się po tych miejscach, ale w końcu wzruszyła ramionami i zrezygnowana brnęła w wodzie.

Ostatecznie również pani Schmidt zabrakło drewna, więc mężczyźni podjęli wspólne działania, by znaleźć coś, co zdoła się rozpalić. Ustalono, że pod rozciągniętą płachtą zrobią wspólne ognisko, które będzie do dyspozycji wszystkich obozowiczów. Kobiety na zmianę, po kilka, przygotowywały szybko gorące strawy dla swoich rodzin.

Rodzina Collinsów nie była jedyną, której wóz przeciekał. Inne również były przemoknięte. Rodziny łączyły się ze sobą i dzieliły suchym miejscem, na ile tylko było to możliwe. Deszczowa aura wzmogła konflikt pomiędzy dwoma nie lubiącymi się kobietami. Rzucane przez panią Page obelgi i kąśliwe riposty pani Tuttle były często jedyną rzeczą, która trzymała resztę



obozowiczów w dobrych nastrojach. Poza tym nie pozostawało im nic innego, jak pośmiać się zdrowo z siebie nawzajem.

Piątego dnia niebo przejaśniło się nieco i przedzierające się zza chmur słońce zaczęło osuszać ociekające wodą, podniszczony wozy.

Pasażerowie wyjrżeli na zewnątrz. W pośpiechu naciągając sznury, wieszali ubrania i koce do wysuszenia. Ziemia wciąż była mokra. Potrzeba było jeszcze wielu dni, by zniknęły kałuże, a grunt wysechł na tyle, by wozy mogły znowu ruszyć.

Kiedy Missie wyjrzała ze swojego wozu, czuła się jak Noe po potopie. Woda była niemal wszędzie. Jak dobrze byłoby zobaczyć kawałek suchego lądu, choćby nawet spod końskich kopyt miał znów wydobywać się pył! Jakże wspaniale byłoby znowu ruszyć w drogę.

Pan Blake był wyraźnie zniecierpliwiony, lecz jego wieloletnie doświadczenie w podróży podpowiadało mu, że nie ma sensu ruszać w błocie.

– Trzeba jeszcze poczekać – obwieścił i wyjaśnił, że po wielu dniach ulewy przekroczenie Wielkiej Rzeki i tak będzie w najbliższych dniach niemożliwe. Będą mieli opóźnienie, ale nie było sensu mnożyć problemów. – Nim się obejrzycie, będziemy już po drugiej stronie.

Kiedy pan Blake kończył ogłoszenie, miny słuchających były posępne. Missie zastanawiała się, co oznaczało „nim się obejrzycie”. Ale jej głównym obowiązkiem teraz było zebranie jak najwięcej drewna i ułożenie go do wyschnięcia, by można je było użyć następnego dnia. Nie może się zdarzyć, że znowu zabraknie jej opału.